

**STAŁ SIĘ JUTRO**

*opracował i wykonał  
zob. str. 104-105*

**WIDOK I WISŁA**

**Barbasz Filan** — bezczepa jechał  
podróż Góllwera  
— Kucostrosz



Stało się jutro

Nieostrość

Opowiadań fantastycznych zbiór dwudziesty szósty

*Dariusz Filar*

# Jeszcze jedna podróż Gulliwera

*Pełny tekst rękopisu przez niektórych zaliczanego do apokryfów, a przez innych z całą stanowczością przypisywanego Swiftowi i uważanego za nie opublikowany epilog jego słynnej książki; rękopis ten odnaleziono wśród zbiorów biblioteki w Armagh w północnej Irlandii w blisko dwa i pół stulecia po śmierci pisarza.*

**AUTOR PONOWNIE OPOWIADA O SWOIM POWROCIE DO ANGLII  
Z KRAJU WSPANIAŁYCH HOUYHNHMÓW  
I ODRAŻAJĄCYCH YAHOSÓW  
JEGO NIESZCZĘŚCIA W OJCZYŹNIE \* POSTANAWIA WYRUSZYĆ  
W JESZCZE JEDNĄ PODRÓŻ \* ŻEGLUJE KU NIEZNANYM ŁĄDOM  
PRAWDOMÓWNOŚĆ AUTORA \* JEGO OPOWIEŚĆ O TYM,  
CZEGO OPOWIEDZIEĆ SIĘ NIE DA  
AUTOR, TYM RAZEM OSTATECZNIE I NAPRAWDĘ,  
ŻEGNA CZYTELNIKA I KRESU ZAKOŃCZENIE**

Gdy piątego grudnia 1715 roku, po szesnastu latach i ponad siedmiu miesiącach strawionych na podróżowaniu, dotarłem o dziesiątej rano do portu w Downs, a mniej więcej o trzeciej po południu do mego domu w Redriff, sądziłem, że oto dokonał się ostatni z moich powrotów do Anglii, bo nigdy już więcej nie wyruszę na morze. Pragnąłem odtąd jedynie siadywać w moim ogródku i oddawać się rozważaniom o wspaniałych cnotach, których lekcję dali mi mądrzy i szlachetni Houyhnhnmowie. Zamierzałem także kształcić członków mojej rodziny, o ile okażą się dostatecznie pojętni.

Wiesz przecież, Miły Czytelniku, jak trudne okazały się dla mnie pierwsze chwile spędzone z mą żoną i dziećmi. Odkąd, jeszcze w Houyhnhnmlandii, zacząłem widzieć ich (a także mych przyjaciół, rodaków i ogólnie gatunek ludzki) takimi, jakimi w rzeczywistości są: Yahoosami do szpiku kości — z ogromnym wysiłkiem przychodziło mi choćby pomyśleć o zbliżeniu się do nich, a samo wyobrażenie ich ohydneho dotyku przyprawiało mnie o mdłości. Nic też dziwnego, że bliskość wielkiego stada Yahoosów, którego rodzicem i zarazem pasterzem być miałem, napawała mnie najgłębszym wstrętem, wstydem, a nawet przerażeniem. Woń bijąca od nich była dla mnie nie do zniesienia. Minął rok, nim zacząłem spożywać z nimi posiłki w jednym pokoju, a i to tylko po uprzednim zatkaniu nosa rutą, lawendą lub tytoniem i zajęciu miejsca przy najodleglejszym krańcu stołu.

Mimo wszystko oswajałem się z wolna i gdyby nie wścibstwo podłych sąsiadów wytrwałbym prawdopodobnie w postanowieniu osiadłego życia. Niestety! Wbrew najszczerzym moim pragnieniom liczni przedstawiciele yahooskiego społeczeństwa, a w pierwszym rzędzie owi najbliżsi sąsiedzi nie zostawili mnie w spokoju. Nieszczęście zaczęło się w momencie, gdy spróbowałem zapewnić sobie dobre i podnoszące na duchu towarzystwo. Za znaczną sumę zakupiłem dwa piękne ogiery i wybudowałem dla nich dużą Stajnię, gdzie mieszkały nie znając siodła ni wędzidła. Rozmawiałem z nimi co dnia w ich języku wzniosłych Houyhnhnmów; pojmowaliśmy się nawzajem doskonale i pozostawaliśmy w wielkiej zażyłości. Rychło podpatrzono mnie jednak i rozniosło się

po Anglii, że umiem porozumieć się z końmi. Wieść ta, nie mieszcząca się w ciasnym umyśle przeciętnego Yahoosa, uczyniła ze mnie nie lada atrakcję mego małego Redriff. Nie pomogły prośby i protesty, barykadowanie drzwi i spuszczenie z łańcucha psów, a wreszcie wzywianie pomocy stróżów publicznego porządku; stada wielkich panów, rzeźmieszków, oficerów, głupców, polityków, łapowników, urzędników, złodziei i innych im podobnych pragnęły ujrzeć mnie za wszelką cenę i każdego dnia na nowo szturmowały mój dom. Rozdęty pychą zlepek szpetoty oraz wszelkich chorób ciała i umysłu, jaki prawie nieustannie musiałem oglądać, burzył wszelkie tamy mojej cierpliwości i przywodził mnie na granicę szaleństwa. Wytrzymałem czas jakiś, ale w końcu przyszło mi przekonać mą żonę i dorastające potomstwo, że lepiej będzie dla wszystkich, jeśli jednak opuszczę Anglię i spróbuję odkryć jakąś wyspę; nie zamieszkaną, lecz mogącą mnie zaopatrzyć we wszystko, co konieczne do życia.

Pragnienie trafienia na taką wyspę i cieszenia się w zupełnej samotności własnymi myślami wypełniało mnie przeciw od chwili odplynięcia z Houyhnhnlandii i właściwie tylko pojmanie i uprowadzenie mnie przemocą na pokład portugalskiego okrętu kapitana Pedra de Mendozy sprawiło, że znalazłem się w Lizbonie, a później w Downs i Redriff.

Gdy rodzina nie zatrzymywała mnie więcej, zacząłem przemyśliwać o okręcie, na którym mógłbym dopłynąć do wymarzonego lądu. Ponieważ nie myślałem skazywać się na wielotygodniową kompanię załogi jakiegoś kupieckiego żaglowca ani tym bardziej narażać na ujawnienie drogi ku mojej przyszłej kryjówce, musiałem zdobyć okręt, na którym mógłbym w tę ostatnią podróż wyruszyć sam. Pilnie słuchając mych życzeń i wskazówek (postawa jakże rzadka u Yahoosa!) mistrz James Robertson z Portsmouth zbudował dla mnie stateczek o trzech tonach pojemności, który na pierwszy rzut oka wydawał się połączeniem szalupy z miniaturową hiszpańską karaką, a urządony był tak sprytnie, że bez niczyjej pomocy mogłem obsługiwać zarówno ster, jak i żagle. W szerokim na osiem stóp kubryku nie zabrakło niczego, co mogło ułatwić i umilić mi podróż, a więc przytwierdzonych do podłogi stołu i krzeseł, szafy do przechowywania bielizny oraz wygodnego hamaka. Na burcie poleciłem wymalować nazwę brzmiącą „Salvation”, bo zaiste wybawieniem była w moich oczach szansa ucieczki od świata, w którym władza spoczywa w rękach bydląt tak głupich i skłonnych do wyrodnych występków jak Yahoosi.

Rozwiązawszy tak szczęśliwie problem okrętu zgromadziłem odpowiednie zapasy jada oraz napojów i dnia ósmego września 1720 roku opuściłem macierzysty port kierując „Salvation” początkowo ku miejscu, w którym wysunięty jęzor Konwalii wskazuje bezkresy oceanu. Żegnano mnie tłumnie, przy czym jedni widzieli we mnie filozofa, drudzy samobójcę, a jeszcze inni i zarazem najliczniejsi — pospolitego wariata. Nie sądzę jednak, by ktokolwiek, żonę mą i nieszczęsne potomstwo wliczając, bolał nadmiernie z powodu rozstania. Ja zresztą też opuszczałem mą ojczyznę bez żalu i niepokoił mnie jedynie los owych dwóch ogierów, które niewątpliwie należały do szlachetnej rasy Houyhnhnmów, a pod moją nieobecność narażone były na zwyrodnienie umysłu i charakteru spowodowane wpływem nowych właścicieli.

Od chwili podniesienia kotwicy podróż moja przebiegała jak najpomyślniej i dzięki wielce sprzyjającemu wiatrowi już dwudziestego drugiego września przybiłem do nabrzeża w Tenariffie. Uzupełniwszy zapas słodkiej wody i świeżego mięsa puściłem się dalej na południowy zachód.

I tak, Miły Czytelniku, przychodzę do tego fragmentu mojej opowieści, w którym przekazywanie ścisłego sprawozdania z mych przygód, jakiemu poświęcałem się do tej pory, napotyka rozliczne trudności, a który we mnie samym budzi najboleśniej rozterki i głębokie wątpliwości. Zawsze hołdowałem zasadzie, że podróżnik opisujący poznane kraje i doznane w nich wrażenia bardziej winien dbać o surową wierność faktom niż o kwiecistość stylu czy o dającą poczytność i poklask

barwność opisu. Oburzała mnie łatwowierność publiczności tak bezczelnie znieważanej bajaniem wielu podróźniczych książek i dlatego z całego serca opowiadałem się za wprowadzeniem prawa nakazującego każdemu autorowi, by przed ogłoszeniem relacji z podróży złożył przysięgę przed Lordem Kanclerzem, że to, co pragnie wydrukować, wolne jest od zmyśleń i fałszów. Pochlebiam sobie, że w tym, co napisałem o mych wyprawach do Lilliputu i Brobdingnagu, do Laputy, Balnibarbi, Glubbdubdrib, Luggnagg i Japonii, a wreszcie do Houyhnhnlandii, a także w tym, co pomieściłem dotąd na tych kilku ostatnich stronicach, nie ma nic poza najczystsza prawdą. Ani na jotę nie wyszedłem poza to, co sam wyraźnie widziałem i słyszałem. Nie dodałem niczego ani niczego świadomie nie przekręciłem.

Lecz w przypadku, który stał się mym udziałem na czwarty dzień po odbiciu od nadbrzeża w Tenariffie, podporządkowanie się wpojonej mi przez mego czcigodnego pana Houyhnhnma zasadzie, by w relacjach nie wykraczać nigdy ani słowem poza oczywiste fakty, uniemożliwia właściwie przekazanie czegokolwiek. Dochowując wierności tej zasadzie mógłbym jedynie powiedzieć, że dwudziestego szóstego września zerwała się burza, że wielka fala wyróciła mój okręcik i strąciła mnie w morze i że następnie znalazłem się zupełnie nagi na środku rynku w mym miłym mieście. Mógłbym jeszcze co najwyżej dodać, że między katastrofą a moim nieoczekiwanym i ze wszech miar niezwykłym przybyciem do Redriff minął blisko rok.

Lecz jakież Czytelnik zechce się zadowolić opisem tak skąpym i tak bez reszty pozbawionym szczegółów? Któryż nie spyta, co właściwie działo się ze mną w owym okrytym mgłą tajemnicy roku? Pojmuję to doskonale i raz jeszcze muszę się przyznać do nękających mnie wątpliwości i rozterek. Za nic nie chciałbym się dopuścić napisania opowieści na wzór tych, które zwą utopijnymi lub fantastycznymi, a którymi znieważają prasę drukarską tak liczni dzisiaj pisarze (czy też raczej tak liczni bezczelni kłamcy, którzy bez wyjątku winni zostać skazani na karę zjedzenia zaczernionych przez siebie arkuszy i gaszenia pragnienia jedynie atramentem). Zarazem jednak otwarcie muszę oświadczyć, że przekazanie czystej prawdy w tym przypadku również przerasta me możliwości. Nie wynika to bynajmniej z jakiegoś ciężącego na mnie zobowiązania dochowania sekretu czy też z jakiejś nagle objawionej własnej mojej niechęci do wyznań. Prawda wymyka się po prostu memu umysłowi i wymaga słów, których nie znam.

Ponieważ i to stwierdzenie może się wydawać cokolwiek niejasne, w dalszym ciągu spróbuję je należycie rozwinąć i zadowalająco uzupełnić.

Pamiętasz pewnie, Czytelniku, że opowiadając poprzednio o moich pobytach wśród wielu odległych narodów świata musiałem często uciekać się do omówień, a jeszcze częściej do porównań. Wspominając na przykład żyjącego w Houyhnhnlandii ptaka o nazwie lyhannh stwierdzałem, iż wygląda on jak jaskółka, ale o wiele większa.

Odmalowując mechanizm napędowy latającej wyspy wskazywałem, że głównym jego elementem jest wielki magnetyt, który kształtem przypomina czółenko tkackie. A opisując zachowanie dzikich Yahoosów polegające na obrzucaniu nieczystościami upadłego ulubieńca, przodownika stada, ośmieliłem się zwrócić uwagę, iż jest to poniekąd podobne do obyczajów panujących wśród niektórych elit rządzących Europy. Wszelkie bowiem postrzeganie i określanie przez nas zjawisk oraz przedmiotów nowych polega w gruncie rzeczy na zestawieniu ich z tym, co już znamy. Zatrzymując się tedy przed czymś świeżym i nigdy dotąd nie oglądanym oddajemy się natychmiast pospiesznym poszukiwaniom w pamięci form i treści pokrewnych, kształtów zbliżonych i zastosowań analogicznych, postaci, barw i poruszeń gdzieś i kiedyś już napotkanych. Zasoby naszych skojarzeń wyznaczają więc horyzont naszemu przyswajaniu nowego, jednocześnie są fundamentem tego dzieła i najważniejszym jego ograniczeniem.

Kłopoty we właściwym odbiorze nie znanych nam dotąd przedmiotów oraz zjawisk i w przekazywaniu innym nabytych doświadczeń pojawiają się wtedy, gdy odzew wywołany w nas przez nowe jest zbyt słaby, gdy skojarzenia przychodzą z wysiłkiem, a podobieństwa okazują się złudne. Nieprzewyciężone niemal trudności stawiało przede mną .wyjaśnianie memu panu, najgodniejszemu z Houyhnhnmów, czym są władza, wojna, pieniądze, prawo i kara, bowiem pojęcia te nie miały żadnych odpowiedników w jego języku, a instytucji i rzeczy, co by je mogły przypominać, w otaczającej go rzeczywistości po prostu nie było. Rozwodziłem się szeroko o tych sprawach i podawałem mnóstwo szczegółów, lecz Jego Czdgodność, mimo iż miał wybitny umysł doskonale wykształcony rozmyślaniami i rozmowami, nigdy całkowicie ich nie pojął. Nie rozumiał, jak można znajdować upodobanie w mordowaniu jednych i głodzeniu innych, w gromadzeniu kawałków żółtego metalu, których nie można ani zjeść, ani przeznaczyć na okrycie ciała, w picciu płynów o obrzydliwym zapachu i smaku po to tylko, by pogrążyć się w chorobę i szaleństwo. W końcu stwierdzał też zawsze, iż musi to wynikać z wyjątkowej głupoty i dzikości, jakie cechują naturę yahooską.

Otóż zechciej przyjąć do wiadomości, Miły Czytelniku, że bariera, przed którą zatrzymał się mój najłaskawszy pan Houyhnhnm próbując pojąć życie Europy, była niczym wobec tej, jaka pojawiła się przede mną po morskiej katastrofie i pozostała nieporuszona przez rok, który minął, zanim powróciłem do Redriff (o tym, że trwało to rok, dowiedziałem się zresztą dopiero na miejscu, bo wcześniej bez reszty pozbawiony byłem poczucia czasu). Od chwili porwania mnie przez wielką falę działo się ze mną coś, czego opisać nie potrafię, bo nie przypomina niczego, z czym kiedykolwiek się zetknąłem. Nie umiem orzec, czy zniknąłem pod wodą, czy pływałem po powierzchni lub czy uniosłem się ponad nią, bo sytuacja moja nie odpowiadała żadnemu z tych trzech wariantów. Otoczenie, w jakim się znalazłem, nie wywołało we mnie żadnych skojarzeń, nie nasunęło mi żadnych podobieństw ani nie obudziło żadnych wspomnień. Nie wiem, czy obcowałem z dobrem, czy ze złem, z pięknem czy z brzydotą, z jakimiś barwami i kształtami czy z zupełną pustką. Przychodzą momenty, kiedy nawet nie jestem pewien, czy w ogóle cokolwiek zdołałem zauważyć. Znamienia Houyhnhnmowie uważają, że niemożliwością jest powiedzieć coś, czego nie ma. Ja zaś wiem dzisiaj, że jest coś, czego nie da się powiedzieć. Mimo starań, których nie szczędzę znęcając się nad własną pamięcią, nie mogę odnaleźć pod powiekami najmniejszego strzępu obrazu, nie potrafię odtworzyć w sercu żadnego nastroju i nie udaje mi się trafić na ani jedno słowo, co wyraziłoby niewyrażalne. Pozostają fakty, od których zacząłem: w ubraniu wpadłem do oceanu, a po roku całkiem nagi stanąłem na rynku swego miasta (nie wiem, jak do tego doszło; czy zleciałem z nieba, czy wyrosłem spod ziemi, czy też, jak duch, wyłoniłem się z powietrza; również nikt ze świadków mego powrotu nie umiał rozstrzygnąć tej zagadki).

Zdarzenie tak niecodzienne, jakim jest nagus paradujący w miejscu publicznym, ściągnęło natychmiast tłumy gapiów, którzy naigrywali się ze mnie, ja zaś stałem zupełnie ogłupiały i bezradny, póki jakaś litościwsza dusza nie okryła mnie opończę i, poznawszy, kim jestem, nie odprowadziła do domu.

Skandal, jaki wybuchł, sprawił, że moje życie stało się jeszcze nieznośniejsze niżli wprzód. Stada ciekawskich natrętów, pamiętające wciąż o moich umiejętnościach i dodatkowo zaciekawione okolicznościami mego powrotu, nie pozostawiały mi już nawet minuty spokoju, a ze smutkiem wyznać muszę, że nikt spośród tych, co spotkali mnie wtedy, mej żony i dzieci nie wyłączając, nie chciał dać wiary moim wyjaśnieniom: tym samym, które Tobie, Czytelniku, przedstawiłem wyżej. Wszystko to zmusiło mnie do sprzedaży mego domu w Redriff i do osiedlenia się na odludziu nieopodal Newark w Nottinghamshire. Tutaj przebywam nie oddalając się nawet na krok od domu i stąd prowadzę korespondencję z moim kuzynem, Panem Richardem Symptomem, który, jak mi doniósł,

czyni starania, by ogłosić drukiem me wspomnienia.

Rodzina moja wciąż odnosi się do mnie z niejaką nieufnością, bowiem lęka się, że pozostawiony sam sobie mógłbym znowu podążyć w jakieś ludne miejsce i publicznie się obnażyć. Z tego też względu przynajmniej jedno z moich Yahoosów nieustannie ma mnie na oku, a jeśli przypadkiem wszyscy naraz zmuszeni są gdzieś się oddalić, to zamykają mnie w mocnej drewnianej klatce, którą specjalnie w tym celu zbudowali. Czytelnikowi, który na pewno uwierzył mej relacji, nie muszę tłumaczyć, że ich obawy są najzupełniej płonne, a zabiegi mające na celu zatrzymanie mnie w granicach naszej posiadłości zbyteczne. Poddaję się im jednak bez sprzeciwu i wszystko wybaczam. Zresztą chwile uwięzienia nie są mi przykre, bo moją klatkę ustawiono w stajni, a ubłagałem mego najstarszego syna, by odnalazł i odkupił dla mnie owe dwa ogiery, o których pozwoliłem już sobie wspominać. Siedząc więc pod kluczem rozmyślam o przygodach, jakich doznałem, o szaleństwach nieodmiennie wybierającej fałszywe drogi i niczego nie pojmującej prawidłowo ludzkości i o tajemniczej sile, której opisać nie potrafię, a która nie pozwoliła mi utonąć i dla jakichś, sobie tylko znanych powodów, zaniosiła mnie na powrót do Anglii dając mi czas na spisanie tych pamiętników. Niekiedy zaś rozmawiam w języku Houyhnhnmów z moimi dwoma stojącymi przy pobliskich żłobach przyjaciółmi; gwarzymy o sprawach prostych i pięknych i wówczas jestem najzupełniej szczęśliwy.





# Nieostrość

Zastygłe gorąco, żar nie wygaszony przez odejście dnia, martwota... Wielkie skrzydła uczeplonego pod sufitem wentylatora w beznadziejnym trudzie kroją gęste powietrze. Światło lamp żółtymi plamami sięga jedynie otwartych drzwi na taras; tuż za nimi wsiąka w bezdenną, aksamitną czerń.

Goście hoteliku rozeszli się już do swoich pokoi i w niewielkiej jadalni, nie licząc śniadoliczego kelnera, który w skupieniu i prawie bezszelestnie uprząta stoliki, pozostaliśmy tylko my dwaj. Od godziny nasze spojrzenia spotykały się raz za razem, a teraz nieomal otwarcie przyglądamy się sobie.

Jego twarz — porysowana zmarszczkami, spalona przez słońce, okolona brodą, w której, tak jak i w króciuteńko przyciętych włosach, obficie płaczą się nitki siwizny — nie do końca zdradza wiek. Może należeć do męczyzny czterdziestoletniego, ale i do jednego z tych dwudziestoparolatków, o których zwykło się mówić, że „wiele przeszli”. Ubranie nosi w dobrym gatunku, czyste i starannie wyprasowane, lecz mocno już podniszczone (nawet stąd mogę dostrzec, że jego płócienna bluza jest wypłowiała i zacerowana w kilku miejscach, widoczne pod stołem nogawki dżinsów — błękitnych kiedyś, a dziś do białości spranych — strzępią się, zaś przyszwycy i zelówki grubych, traperskich butów rozwarstwiają pęknięcia i szpary). Gdy łamie chleb, dzieli na kęsy leżącą przed nim na talerzu rybę albo sięga po szklankę z winem, przyciąga uwagę harmonijnością ruchów. Każdy z nich znamionuje siłę, spokojną zręczność, powściąganą wewnętrzną energię.

Równe wrażenie wywiera jego głos; nie zdołałem rozróżnić poszczególnych słów, jakie kierował do kelnera, ale pochwyciłem ich ton — ani rozkazujący, ani nadmiernie proszący, lecz głęboki i dźwięczący nieugiętą wolą. Najważniejsze jednak są w tym człowieku oczy; pełne mądrości i zmęczenia, którym przyszło za nią zapłacić, a równocześnie czujne, wciąż czegoś poszukujące i badawcze, zdające się przenikać w głąb ludzi i przedmiotów jak aparat Roentgena...

Wzrokiem zadaje mi pytanie i nie czekając odpowiedzi podnosi się z miejsca. Idzie ku mnie. Z półuśmiechem otwiera usta:

— Czy pozwoli mi pan przysiąść się do siebie? Dziękuję, wiedziałem, że pan nie odmówi. Skąd miałem pewność? No cóż — posiadam po trosze sztukę czytania w myślach bliźnich. Już dawno odgadłem, że nie ma pan jeszcze ochoty pójść na górę i położyć się spać, że pragnie pan towarzystwa i rozmowy. A ściślej — mojego towarzystwa... i ze mną rozmowy.

Zajmuje krzesło naprzeciwko mnie i teraz, gdy znalazł się tak blisko, prąd płynący z jego oczu przybiera na sile. Całym sobą czuję niewidzialną falę, która wciąga mnie i zewsząd zamyka. Przez zamęt w mojej głowie przebija się nagle podejrzenie — mocne i krystalicznie jasne, a przy tym jak gdyby obudzone gdzieś poza mną i narzucone mojemu mózgowi: oto wchłania mnie cząstka przestrzeni, która stanowi wyłączną własność nieznajomego, oto wpadam do sfery, wewnątrz której dana mu jest nieograniczona władza. Mój rozsądek próbuje obrony. Myślę: złudzenie!, autosugestia!,

a w ogóle to bzdura!

I jednocześnie spostrzegam, że od paru chwil bezwiednie, w automatycznym naśladownictwie powtarzam jego zachowanie i gesty; wyprostowałem się ściągawszy łopatki, w kształt namiotu składałem dłonie łącząc je tylko koniuszkami szeroko rozcapierzonych palców, tak samo jak on wolno przenoszę skupione spojrzenie z jednego punktu na drugi... Przenika mnie zimny strumień prawdziwego niepokoju. Usiłuję otrząsnąć się z uroku. Daremnie!

Przeistoczono mnie w kukielkę; twardy drążek usztywnia korpus i kark, a napięte sznurki ciągną ręce. Wbrew nim nie mogę zrobić nic!

Moje ciało odzyskuje swobodę dopiero wtedy, gdy i on, odchyliwszy się na oparcie krzesła, rozluźnia mięśnie i na mgnienie przymyka powieki, Nie na dosyć długo, bym zdążył głębiej się zastanowić albo chociaż znaleźć właściwe słowa dla nurtujących mnie pytań. Zaraz jego spojrzenie ogarnia mnie na nowo, a ten sam co przedtem półuśmiech rozchyła mu wargi.

---

— Co pana sprowadza do tej ziemi filozofów, wędrowców, demonów i bóstw? Nie, proszę nie odpowiadać. Niech mi pan pozwoli zabawić się w detektywa. Zwyczajnym turystą pan nie jest; nie należy pan do tego kolorowego i jakże hałaśliwego stadka, które jeszcze przed kwadransiem mogliśmy tutaj oglądać. Alpinista również odpada — brak w panu cech specyficznego stylu. Jaki wyróżnia to środowisko, A zresztą będąc jednym z nich zatrzymałby się pan w którymś z wyżej położonych schronisk. Badacz starych ksiąg? Kolekcjoner antycznych posążków? A może amator tanich narkotyków? Przecząco kręci pan głową... Dziennikarz? No, widzę, że tym razem prawie trafiłem! Ciepło, ciepło... Pisarz?! Oczywiście, mogłem wpaść na to wcześniej... Więc przybył pan tutaj, by w egzotycznej scenerii i wśród tajemnic obcej kultury znaleźć natchnienie do swej twórczości... Proszę wybaczyć to, co powiem, ale podejście takie często bywa właściwe autorom początkującym lub też uprawiającym gatunki literatury zaliczane do ostatnich. Ach, nie ma pan zwyczaju obrażać się o takie uwagi. To dobrze, to bardzo dobrze — zachowanie dystansu wobec siebie i swego dzieła jest cnotą... Kto wie? Może w pańskim wypadku zostanie ona nagrodzona? Niewykluczone, że moja historia to właśnie temat, jakiego pan szuka.

Z wyrazu jego twarzy odgaduję, że wraca pamięcią w odległą przeszłość. Nie śmiem przerywać tej zadumy. Zresztą wszystkie pytania, które ledwie co gorączkowo chciałem mu zadawać, stają się teraz mało ważne. Rośnie we mnie pewność, że przyobiecana historia okaże się o wiele ciekawsza od zwykłego odsłonięcia przyczyn mego dziwnego przeżycia, że da mi wyjaśnienia istotniejsze. Toteż zamieniam się w słuch, gdy tylko z ust nieznanego padają pierwsze słowa:

---

— Nazywam się Hold. Marek Hold. O! Widzę, że moje nazwisko nie jest panu całkiem obce. Obiło się panu o uszy? No, no — to znaczy, że ktoś je jeszcze czasami publicznie wspomni na północny zachód od tych gór... A przyczyna tego rozgłosu? Dzieła lub postęпки, które go przyniosły? Tego pan już nie wie... Cóż, proszę zgadywać — ja rozszyfrowałem pana, więc może z kolei panu uda się to samo zrobić ze mną. Nie, nie byłem aktorem. Reżyserem także nie. Ani pisarzem, ani malarzem. Wykazuje pan niezwykle upór w dobieraniu do mojej osoby profesji czysto artystycznych. W rzeczywistości zajęcie moje łączyło w sobie wiele pierwiastków — owocowało dziełami sztuki, ale i bieżącymi komentarzami politycznymi, w równej mierze zależało od mego talentu i od niezawodności techniki, niekiedy zmuszało mnie do wyczynów akrobaty... Doprawdy? Dopiero teraz skołowałem pana zupełnie? Chce się pan poddać? Ha, niech i tak będzie! Odkrywam karty — byłem fotografem, a dokładniej biorąc — fotoreporterem. Więc napotykać moje nazwisko musiał pan

zetknąć się i ze zdjęciami.

.....  
Jego ostatnie słowa dźwięczą jeszcze w moich uszach, gdy pamięć podsuwa mi oglądaną przed laty okładkę któregoś z tygodników (może to był „Newsweek”?, a może „Time”?) o zasięgu światowym; na dole, w prawym rogu, wielki obiektyw staroświeckiego, osadzonego na statywie aparatu, a zza niego wychylająca się twarz mężczyzny. Zbliżenie pozwala dostrzec każdy por jego skóry. Nie nosi brody, zmarszczek ma niewiele, a jego włosy nawet nie zaczęły siwieć, lecz oczy — wpatrzone w niewiadomy cel, ku któremu wymierzony jest obiektyw, a więc i w biorącego pismo do rąk czytelnika — są takie jak dziś; uważne, skupione, przenikliwe...

Marek Hold! Oczywiście! Teraz przypominam już sobie całkiem wyraźnie, że portretem na okładce, długim artykułem wewnątrz numeru i paroma stronicami zdjęć czczono jedną z jego słynnych wystaw — w nowojorskim Metropolitan Museum of Art albo w paryskim Centre Culturel przy ulicy Beaubourg. Ale przecież widywałem te czarno-białe fotogramy i w innych pismach... i w albumach... i przetworzone w plakaty... Wojny i pokazy mody, zwierzęta i politycy, egzotyczne kwiaty i wyścigowe samochody — wszystko pojawiało się na obrazach malowanych kamerą Holda.

Przed pięcioma czy sześcioma laty wspiał się na szczyty, podbił świat... Ale co, u diabła, stało się z nim później?!

Tymczasem Hold, dzisiejszy Hold — brodaty i siwowłosy, siedzi naprzeciwko mnie i milczy, jak gdyby dając mi czas na zebranie i uporządkowanie wszystkiego, co tylko wiem na jego temat. Trwa to tak długo, że wreszcie — przekopawszy pokłady pamięci do samego dna — zaczynam się niecierpliwić. Zbieram się nawet na odwagę, by ponaglić go pytaniami, ale wtedy spostrzega mój nastrój i sam podejmuje przerwany wątek

— Tak, całe życie robiłem zdjęcia; pierwszego Rolleiflexa sprawiłem sobie jeszcze jako chłopak, a później przez prawie ćwierć wieku nie wychodziłem poza krąg obiektywów i teleobiektywów, filtrów i fleszy, błon i chemikaliów. Sława... Nie potrafię wskazać momentu, w którym przyszła. Po prostu fotografowałem i posyłałem swoje prace do najróżniejszych pism. Z początku bez żadnego widocznego efektu. Ale pewnego dnia na dalekiej stronicy mało znanego tygodnika napotkałem wreszcie długo oczekiwany obraz — zdjęcie mojego autorstwa! Wciśnięte między rzędkie liter, sprowadzone do roli ozdobnika, pomniejszone i okrojone nie prezentowało się najlepiej, lecz to nie mogło wówczas zmniejszyć mojego entuzjazmu. Fakt, że nie otrzymałem honorarium — również nie. Zwielokrotniłem częstotliwość trzaskania migawką i liczbę przesyłek. I po jakimś czasie prawie wszystkie moje prace poczęły trafiać na szpalty. Jednocześnie z wolna awansowały — wdzierały się do pism o coraz większej poczytności, torowały sobie drogę ku pierwszym stronom, pięły się na okładki... Później pojawiły się zamówienia od najpotężniejszych agencji prasowych i zaproszenia do udziału w wystawach, posypały się deszczem medale i grand prix...

A na koniec cały świat mówił o „czarodzieju obiektywu i migawki”, o „wizjach bardziej rzeczywistych niż rzeczywistość”, o „odrębnym punkcie widzenia Marka Holda”...

W widomy znak sukcesu rozrosło się moje życie towarzyskie — politycy zapraszali mnie na przyjęcia, by przymówić się o portrety, które później, jako transparenty, kołysały się nad tłumami uczestniczącymi w kampaniach wyborczych, najwybitniejsi artyści nigdy nie zapominali zawiadomić mnie o wernisażach, wschodzące gwiazdki filmu proponowały tęte-ń-tęte marząc o pokazaniu swych buź i sylwetek na okładkach wielonakładowych magazynów, sportowcy dziękowali za utrwalenie chwil ich zmagania i tryumfów, pisarze i dziennikarze namawiali mnie do wspólnej pracy nad książkami... Obracałem się w tym barwnym świecie, starałem się być miły dla wszystkich i zrećnie

powtarzałem plotki, a ostatecznie prawie zawsze robiłem to, o co mnie proszono... Ale moja popularność płynęła i z innego źródła — powszechnie uważano mnie za człowieka kipiącego pomysłami i obdarzonego umiejętnością inspirowania innych. Czy wie pan, że z tematów podsunętych przeze mnie scenarzystom i reżyserom narodziły się aż trzy filmy? Naprawdę — najpierw „Plastyczna twarz”, później „Wielki format”, a wreszcie „Godziny Abaddona”. Nie widział pan żadnego z nich? Cóż, może jeszcze kiedyś trafi pan na nie w jakimś małym kinie... Pozwalam sobie twierdzić, że nie należały do najgorszych. Ach, chciałby pan poznać ich treść już teraz? Dobrze, spróbuję opowiedzieć. Pierwszy to jeszcze jedno przekształcenie nieśmiertelnego motywu Pigmaliona i Galatei; fotograf pstrykający zdjęcia dla magazynów mody poznaje dziewczynę pracującą, jako sekretarka w jednej z redakcji. Z początku nie zwraca na nią uwagi, bo wydaje mu się zupełnie przeciętna. Ale pewnego dnia musi bardzo pilnie sfotografować nową kolekcję sukien, a akurat nie ma w pobliżu żadnej z jego modelek. Rad nierad prosi o pomoc sekretarkę. I wtedy przychodzi olśnienie — makijaż i strój zupełnie odmieniają dziewczynę w oczach fotografa, odkrywają mu pełnię urody, której nie docenił. Gdy wywołuje zdjęcia, jest już po uszy zakochany; całuje lśniące arkusze. Później następują jeszcze różne perypetie, ale oczywiście wszystko kończy się happy endem... Drugi film nakręcił Guido Ciiiiini. Jego twórczość nie może być panu całkiem obca — musiał pan widzieć coś z jego rzeczy, na pewno zna pan szczególną atmosferę tych dzieł. No właśnie — groza, niedopowiedzenia, znaki zapytania, po których nie nadchodzą odpowiedzi... W „Wielkim formacie” nie zabrakło żadnego z tych elementów. Akcja zawiązywała się w sali koncertowej przed recitalem słynnego pianisty. Zajmująca miejsca w pierwszych rzędach śmietanka towarzyska — wyfraczeni panowie i damy kapiące brylantami — poczyniała nagle zdradzać nieopanowany lęk; grymasy wykrzywiały twarze, drżenie wstrząsało ciałami, z wielu ust wyrwały się histeryczne okrzyki... Nikt jednak nie próbował uciekać. Owe zadziwiające sceny utrwał za pomocą swej lejki młody fotoreporter. Kilkakrotnie zdejmował też punkt ponad podium, w który wpatrywały się wszystkie przerażone oczy, chociaż sam nie dostrzegał tam niczego. Po powrocie do studia właśnie od klatek, w które uchwycił tajemnicze źródło strachu, zaczynał sporządzanie odbitek. Na próżno jednak sięgał po arkusze światłoczułego papieru coraz większego formatu, na próżno lustrował każdy skrawek tych ogromnych zdjęć przez szkło powiększające; kadr był pusty. Wtedy brał się za zbliżenia twarzy. Zafascynowany wpatrywał się w odmalowaną na nich grę uczuć, podziwiał różnorodność w przeżywaniu tego samego; rysy stężale i rozedrgane, oczy rozszerzone i patrzące przez szparki między zmrużonymi powiekami, ściśnięte wargi i wyszczerzone zęby... Wybierał wreszcie trzy portrety, na których piętno lęku wydawało się odcisnięte najmocniej.

W ciągu kolejnych dni odnajdywał owych trzech ludzi i przystępował do ich śledzenia. Fotografując ich z ukrycia i przez teleobiektyw odkrywał wkrótce, że wszyscy trzej mają istotne, rzeczywiste powody do lęku, że w życiu każdego z nich tkwi niosący zagrożenie sekret. W ostatniej scenie filmu fotograf był w swoim studio. Na matowej płycie szklanej, oświetlonej od spodu, rozciągał rolki negatywów. Klatki każdej z trzech klisz składały się na historyjkę obrazkową tłumaczącą stany lękowe podglądanego przez teleobiektyw człowieka. Fotograf wpatrywał się w negatywy, dumiał nad czymś, od czasu do czasu brał do ręki lupę, by dokładniej poznać jakiś szczegół. W pewnej chwili jego skupienie pryskało; gwałtownie podnosił głowę i wbijał wzrok w jeden, leżący gdzieś przed nim punkt. I natychmiast do jego rysów przywierała maska panicznego strachu. Kamera odwracała się wolno idąc śladem jego oczu — napotykała tylko białą, czystą, zupełnie pustą ścianę. Na tym tle z twardym stukiem, jakby przyniesiony i przybity siłą wystrzału, pojawiał się pąsowy napis: „Fine”. Cały Cillini! Musi pan przyznać, że to bez reszty w jego stylu!

„Plastyczna twarz” i „Wielki format” powstały na moich oczach i przy moim wydatnym

współdziale; scenarzyści pierwszego filmu korzystali nieustannie z moich wskazówek, przy kręceniu drugiego Ciiiini potraktował moje własne studio jako pierwowzór dekoracji zbudowanej w atelier. Natomiast z „Godzinami Abaddona” rzecz miała się inaczej. W kilka tygodni po opublikowaniu mego albumu „Zdjęcia frontowe”... Zna pan ten album? Co?!, pamięta pan nawet poszczególne zdjęcia?! Pan mi doprawdy pochlebia... Więc po opublikowaniu tego właśnie albumu otrzymałem list. Dwaj młodzi filmowcy pisali, że są wstrząśnięci, że otworzyłem im oczy, że uważają za swój obowiązek upowszechniać moje — tak to pompatycznie określali — „posłanie do ludzkości”.

Szereg uwiecznionych przeze mnie epizodów wojennych uważali za gotowe fragmenty scenariusza. Zapowiadali rychłe nakręcenie filmu, który postanowili mi dedykować. Później przez kilka miesięcy panowała cisza, aż wreszcie otrzymałem zaproszenie na uroczystą premierę, pomyślą się pan chyba, z jaką ciekawością szedłem do kina. Do ostatniej chwili przed wygaszeniem lamp poczucie satysfakcji mieszało się we mnie z mnóstwem obaw. Na szczęście nie doznałem zawodu — „Godziny Abaddona”, dla mnie przynajmniej, okazały się dziełem wielkiej klasy. Przynosiły wizję wojny, która osiągnęła etap nuklearny; zabrakło zwycięzców i zwyciężonych, popiół równą warstwą zasypał obszary wszystkich skłóconych państw, ludzkość umarła. Tylko w głębi odwiecznej dżungli, daleko od miejsc atomowych eksplozji, tliło się jeszcze życie. W samym jądrze zielonej ciemności, na polanie otaczającej źródło, los połączył kilkudziesięciu ludzi; żołnierzy z rozbitych oddziałów obu walczących stron, uzbrojonych w łuki i dzidy tubylców, grupkę zagubionych cywilów... Nikt nie miał pewności, co wydarzyło się za grubą zasłoną drzew i lian, ale wszyscy pełni byli podejrzeń i przeczuć. I wszystkich z wolna zamykało w swoich szponach szaleństwo. A później opętany pułkownik zdobył absolutną władzę, obłąkany lekarz dokonał na chorych okrutnych eksperymentów, zdziczali żołnierze urządzili walki gladiatorów, oszalałe kobiety odprawiły sabbatową noc...

Wśród dżunglowych rozbitków znalazł się także fotoreporter: wojenny korespondent. Na pozór wydawał się najbardziej normalny ze wszystkich — po prostu robił zdjęcia. A jednak i tę wierność rzemiosłu przesyciała maligna: fotograficzne błony skończyły się i wewnątrz aparatu od dawna było puste. Przykładanie oka do wizjera, manipulowanie pierścieniami przesłony i soczewki, naciskanie spustu migawki — wszystko to sprowadzało się do mechanicznego naśladowania gestów, co miały sens kiedyś, a teraz stały się próżnym rytuałem. Było gorączkowym, nieprzytomnym uleganiem nawykowi. Wypełniając czas i tak może chroniąc przed innymi objawami pomieszczenia zmysłów — też pogrążało w wariacji... A ten fotograf... Wie pan, po dziś dzień nie potrafię rozstrzygnąć, czy realizatorzy filmu chcieli mnie w szczególny sposób uhonorować, czy też leciuteńko ze mnie zakpili: ten fotograf był moim doskonałym sobowtórem! Rolę grał aktor niezwykle do mnie podobny i świetnie ucharakteryzowany, a przy tym obznajmiony z moim sposobem bycia, poruszania się, gestykulowania... Musiał spędzić bardzo długie godziny przed magnetowidem raz za razem oglądając fragmenty jakichś prezentujących mnie kronik, ale też efekt osiągnął uderzający. Zwłaszcza w scenie finałowej filmu — scenie bezzasadnej samozagłady małego światka, powszechnej i wzajemnej, okrutnej rzezi, orgii śmierci — okazał się mistrzem. Zachłannie łapiąc obrazy w obiektyw nie mogącego ich utrwalić aparatu, śmiejąc się i płacząc na przemian, a nawet miotając się w męce agonii — cały czas był najprawdziwszym szaleńcem, pełnym wcieleniem przerażającego wariata ze starych rycin. A jednocześnie nawet ułamkiem gestu nie sfalszował w koncercie, jakim uczynił odtwarzanie pierwowzoru postaci — nawet na moment nie przestał być mną. Był więc szaleńcem i był Markiem Holdem... Był szalonym Markiem Holdem... Już wtedy... Wtedy, gdy jeszcze nikt nie podejrzewał mnie o chorobę psychiczną

.....  
Przez jego twarz przepływa den goryczy czy smutku. Jego oczy wciąż patrzą na mnie, ale

przestają widzieć. Wiem, że Hold znowu oddała się stąd, że znowu błądzi po obszarach przeszłości. Jego duchowa nieobecność tym razem trwa jednak krótko; już po chwili gwałtowne wstrząśnięcie głową sygnalizuje powrót. Opowieść zaczyna toczyć się dalej.

---

— Nie znudziłem pana? Nie dość, że bajam o moim powodzeniu w wielkim świecie, ale jeszcze rozwlekam streszczam scenariusze zapomnianych filmów. Że na pańską własną prośbę? No tak, to prawda. Ach, w dodatku wcale nie żałuje pan tej prośby? Dziękuję, bardzo pan miły... Zresztą może i rzeczywiście dobrze, że wysłuchał pan tego wszystkiego. Znajomość szczegółów ułatwia zrozumienie całości obrazu, a każda ze wspomnianych przeze mnie scen przynależy po trosze do głównego wątku. Po prostu w moim życiu, przynajmniej od pewnego momentu, nic nie działo się przypadkiem. Zdjęcia, które robiłem, rozmowy z nieznanymi i spotkania z przyjaciółmi, a nawet treść tych trzech filmów — wszystko zapowiadało to, co miało nadejść później, otwierało drogę, jaką mi wytyczono. Jak większość ludzi współczesnych byłem gruboskórny i ślepy, więc dopiero poniewczasie, z perspektywy lat, dostrzegłem te delikatne znaki i ulotne współzależności. Dziś już wiem, że okres pokuty, jeden z trzech najważniejszych w moim życiu, jeden z tych, które nadały mu prawdziwy sens, miał głębokie korzenie...

Pan pyta, jakie były dwa pozostałe okresy? Wtajemniczenia i misji; do nich dojdziemy także, niech pan będzie spokojny. Na razie proszę mi jednak pozwolić zatrzymać się przy pokucie. Z samej jej istoty wynika uprzednia obecność występku, przewiny, grzechu... Pragnę, by pojął pan dobrze sens tego, co ciążyło na mnie i co przyszło mi odkupić. Nie chodziło wcale o moje i naszych czasów grzechy najpowszedniejsze; o rozpustę czy nieumiarkowanie w pożądaniu pieniądza. Nie chodziło także — przenosząc rzecz w sferę subtelniejszych roztrząsań etycznych — ani o nadmierną i niezasłużoną łatwość, z jaką sięgnąłem po sukces, ani o zrodzony z niego brak pokory, ani nawet o lekceważenie i wyniosłość okazywane tym, którym powiodło się gorzej. Moja główna zbrodnia była bez porównania cięższa. Rozciągała się zarazem w paru warstwach i może właśnie przez to pozostawała nieuchwytna dla określeń krótkich, prostych i jednoznacznych. Nie mieściła się w nich. Z tej też przyczyny nie obejdzie się i teraz bez długiego i zawilego tłumaczenia, a przyznam, że czuję dziwne zmęczenie na samą myśl o nim. Będę zmuszony sięgnąć po co najmniej dwa lub trzy obrazy ze wspomnień, które posłużą mi jako ilustracje, nie uniknę przytoczenia cudzych opinii o mnie, ze wstydem odślonię pewne nie najpiękniejsze rysy niegdysiejszego stanu mego ducha...

Cóż jednak począć? — innej drogi nie ma. Zaczynamy!

Czy pan wie, dowodów jakiej umiejętności dopatrył się w moich pracach pewien znany krytyk? „Umiejętności wyławiania z surowej rzeczywistości monopikturalnych syntez”.

Rozbawiło to pana? Fakt, krytycy posiadają wyjątkowy dar udziwnionego formułowania swoich spostrzeżeń. Ale akurat w tym wypadku mamy do czynienia z czymś więcej niż nاپuszczonym bełkotem.

Bo rzeczywiście często udawało mi się w jednym jedynym, nie wyreżyserowanym zdjęciu uchwycić pełnię prawdy, dla której inni bezskutecznie naświetlali całe rolki negatywów.

Na przykład z wyprawy w obszary dotknięte klęską suszy i głodu nie przywoziłem setek obrazków ze spękaną ziemią, z wypaloną przez słońce padliną czy z szeregami śpieszących na pomoc ciężarówek Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Wracalem za to z ową „monopikturalną”, z samotną, w nagłym przeblysku natchnienia dostrzeżoną i instynktownie zarejestrowaną sceną, która mówiła wszystko. Oto więc zdjęcie zatytułowane przeze mnie „Głód”: niebrukowana droga biegnąca środkiem jakiejś wsi, odrażający ochłap na poły zagrzebany w piachu, po jednej jego stronie kilkuletnie dziecko, a po drugiej równie jak ono wychudzony kundel; obserwują się uważnie nawzajem i równocześnie nie spuszczaają oka z przypuszczalnego źródła sytości, gotują się do

wyścigu ku niemu i walki, czają się...

O tym, że zamknąłem w kadrze treść, jakiej potrzebowałem, wiedziałem od razu. Dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi z góry odgadywałem istnienie szczegółów, które w chwili wyzwania migawki czułem bardziej, niż widziałem, a które w pełni ukazały mi się dopiero na powiększeniach: blask rozszerzonych gorączką źrenic dziecka, uniesiony, odsłaniający zęby i dziąsła fałd skóry na pysku psa, napięte mięśnie dające się zauważyć przez jego wyliniałą sierść i muchy łączące po ochłapie. To z tych przeczuciem wynajdowanych i branych na cel szczegółów moje zdjęcia czerpały większą część swej dramatyczności i siły wyrazu. I muszę panu powiedzieć, że nie chybiałem prawie nigdy.

W taki sam sposób jak „Głód” zrobiłem „Aresztowanie”; trzech policjanci wlokąc wciągając człowieka na platformę ciężarówki — dwaj wyłamują mu do tyłu ręce, a trzeci trzyma go za włosy, z chodnika przygląda się zdarzeniu tłumek przechodniów. I szczegóły: napięta skóra na czole areштanta, jego nienaturalnie wytrzeszczone oczy obrócone ku gapiom (może z prośbą?, a może tylko z niemym pożegnaniem?), smutek i zakłopotanie na twarzach tych ostatnich, przekrzywiony hełm na głowie jednego z policjantów, pałka w ręku drugiego, nabrzmiałe żyły na zanurzonej we włosach ofiary dłoni trzeciego... Tak też powstała „Kaźń” — wizerunek zwycięzców odrabujących dłonie jeńcom wojennym: zbryzgany krwią pień, stos dłoni, błysk wygiętej, szerokiej klingi, krople potu na młodej, otwartej twarzy kata, wygięte grymasem bólu usta świeżego kaleki, poddanie się i rezygnacja w oczach czekających swojej kolejki następnych więźniów. W sumie sfotografowałem w ciągu kilku lat setki takich scen. Wiele spośród nich pan zresztą zna...

Co? Nie rozumie pan nadal, na czym miałyby polegać moja zbrodnia... Fotografowanie na pewno nie jest grzechem, powiada pan? A jednak nie ma pan racji. Wszystko zależy od głębi osądu. I od punktu widzenia, do ukazania którego cały czas zmierzam. Ostrzegałem, że mój wywód będzie długi i zawiliły. Niechże więc pan zachowa cierpliwość! Zdążyłem już panu przypomnieć, że byłem również autorem zdjęć zupełnie odmiennych. Po każdej wyprawie do któregoś z przemienionych w piekło zakątków naszego globu odwiedzałem jedno z ulubionych miejsc wypoczynku wybrańców — Florydę wiosną, Riwierę w pełni lata, Krym w „aksamitnym sezonie” wczesnej jesieni, Alpy zimą... I pstrykałem tam tyle dla zarobienia pieniędzy, ile dla sprawienia przyjemności samemu sobie. Zdejmowałem więc piękne dziewczyny, oblane potem ciała zwycięzców igrzysk sportowych, pełne szlachetnej zadumy oblicza intelektualistów i namaszczone miny polityków, rasowe konie i psy, urzekające krajobrazy, a nawet, oddając się służbie wszechpotężnej reklamy, miłe dla oka przedmioty — najnowocześniejsze samochody, wymyślne w kształcie butelki koniaków i wódek, luksusowe meble i doskonałe zegarki...

Moje życie płynęło tedy na przemian w dwóch sferach, jak gdyby na dwóch oddzielnych piętrach świata. Wśród koszmaru, w który zanurzyłem się tak, jak bezpieczny za szkłem i żelazem batyskafu oceanograf opuszcza się w głębinę, wśród koszmaru, który obserwowałem i fotografowałem, ale bez poczucia mojej doń przynależności.

I wśród najbarwniejszych wytworów dobrobytu, wśród ludzi korzystających z nich równie chętnie i łatwo jak ja, wśród spraw, zajęć i zabaw, które uważałem za swój żywioł. Gdy przybywałem na to wyższe, szczęśliwsze piętro, koszmar piętra niższego tracił w moich oczach całą realność, a jedyna więź z nim wyrażała się we wpłatach kierowanych na moje konto bankowe przez nabywców przerażających zdjęć.

Ha!, poczuł pan wreszcie niepokojący powiew moralnej dwuznaczności! Zapachniało panu czymś godnym kary, nieprawdaż? Bo też i dotarliśmy już prawie do sedna mojej sprawy, do istoty mego występku. Ale zyski czerpane z handlu obrazami cudzego cierpienia to tylko dalszy punkt w akcie oskarżenia, coś, co od biedy da się jeszcze usprawiedliwić. Ważniejsze były uczucia towarzyszące



robieniu zdjęć. Piękne portrety i kolorowe reklamy wykonywałem dla własnej przyjemności. A czego doznawałem fotografując mękę, gwałt, rany, zniszczenie i rozpacz? Otóż to! Niczego! Czy pan wie, co pomyślałem utrwalivszy scenę zatytułowaną później „Głód”?

Pomyślałem: „Świetne zdjęcie! Trafiłem! To jest to!” I na tym refleksja się skończyła, a ja odwróciłem się i odszedłem.

Nie odpędziłem psa, nie dałem dziecku paru groszy czy puszki konserw, w żaden sposób — pozwolę sobie użyć ogranego pojęcia, ale tutaj będzie ono na miejscu nie zaangażowałem się w sytuację, której byłem świadkiem. Jeden z wybitniejszych umysłów naszego kończącego się stulecia określił techniczne wynalazki mianem „przedłużaczy ludzkich zmysłów”: telewizja to przedłużacz zmysłu wzroku, radio — zmysłu słuchu, radar — dotyku... Uplętnęło sporo czasu, nim doszedłem do wniosku, że w dobie moich największych fotoreporterskich sukcesów odwróciłem tę zależność; w podróżach do ziemskich piekieł sam stałem się przedłużeniem mojej kamery — komputerem bezbłędnie naprowadzającym ją na cele, ale przecież pozostającym tylko sprawną, zimną maszyną.

Pojał pan już? Moja zbrodnia to utrata poczucia jedności świata, łatwa, zbyt łatwa zgoda na cierpienie, które nie mnie dotyka. I wygodna wiara we własną bezsilność. I wyzbycie się przekonania o współodpowiedzialności; i potrzeby współczucia. I jeszcze zachowanie zadziwiająco czystego sumienia... Za to wszystko przyszło roi zapłacić. I nie jestem jedynym, który na to zasłużył

.....

Patrzy na mnie uważnie, a ja wiem, że ostatnie zdanie wcale nie wymknęło mu się przypadkiem. Czuję, że szuka w mojej twarzy nie tylko zrozumienia istoty jego przestępstwa, ale i przyznania się do tego, które sam popełniłem. I nagle z całą jaskrawością uzmysławiam sobie w jaki sposób przeglądam tygodniki: te długie chwile nad podobizną byle rozneglizowanej statystki czy lśniącem wyobrażeniem kabrioletu i ledwie ułamki sekund nad okropnościami współczesności; towarzyszący owym ułamkom stan gorączkowej fascynacji pomieszanej z odrazą i płynąca stąd taka sama zawsze decyzja — odwrócić kartkę!, nie szarpać nerwów tym, czego odmienić nie można!, zapomnieć! Myślę: grzech podobny, więc jaka będzie moja pokuta? Ale nie wypowiadam tego głośno, a Holdowi najwyraźniej nie zależy na przypieraniu mnie do muru. Zbiera się już do opowiadania o własnym zadośćuczynieniu.

.....

Pierwszy raz dopadło to mnie na pokazie mody. Z pewnością wie pan, jak wygląda taki pokaz: westybul eleganckiego hotelu, podium, dyskretny zapach drogich perfum, alkoholi i tytoniu unoszący się w powietrzu, przyciszona muzyka w tle i wszędzie rozgwarzony, beztroski tłumek. Słowem — milieu, jakie zawsze doskonale mi służyło. Mój wyśmienity nastrój — a byłem w takim owego dnia, niech mi pan wierzy — ponad wszelką wątpliwość też nie pozostał bez znaczenia. Bo ten pierwszy cios — po późniejszych doświadczeniach uznałem go zresztą co najwyżej za ostrzeżenie, za niewinny, lekki kuksaniec — musiał mnie dosięgnąć wtedy, gdy cieszyłem się pełnym spokojem, musiał wnieść zagrożenia do sfery, która wydawała mi się całkowicie bezpieczna. To logiczne...

Pyta pan, co się właściwie stało? Już o tym mówię: trwa pokaz, publiczność raz po raz nagradza brawami najciekawsze kreacje, ja obwieszony sprzętem krążę wokół podium polując na niebanalne ujęcia i bawię się nie gorzej niż inni. Wbiegają lekko trzy kolejne modelki. Pochylam się, by szybko zmienić obiektyw, a kiedy podnoszę głowę, poraża mnie widok upiornie odmieniony — na podium gną się i wdzierają trzy szkielety. I to nie czyste, niepokalanie białe, oswojone szkielety z lekcji anatomii, ale jakieś ohydne maskary o kościach oblepionych resztkami ciała i gęstą pajęczyną, o włosach rozpaczliwie trzymających się czaszek, o patrzących tępo wyblakłych oczach... Mój pierwszy odruch jest na wskroś profesjonalny — naciskam migawkę. Jedno po drugim robię parę

następnych zdjęć.

I dopiero wtedy zaczynam rozglądać się po zebranych, szukać na ich twarzach przerażenia i odrazy. Ale wszyscy są najdoskonalej opanowani i nieodmiennie pogodni.

Nie potrafię tego zrozumieć, z niedowierzaniem raz jeszcze obrzucam spojrzeniem całe wnętrze. A potem cofam się, machinalnym gestem przecieram oczy — dokoła siedzą same szkielety. Opuszczam wzrok na swoje ręce. Nie zmieniły się na szczęście: skóra pozostaje gładka, widoczna przez nią płatanina naczyń krwionośnych układa się w zwykły wzór, paznokcie prześwietla zdrowa różowość. Ja jestem żywy. Ja jeden wśród tysiąca. Ż nagła opanowuje mnie nieposkromiona wesołość, sięgający trzewi, szarpiący chichot. Krztusząc się i trzęsąc fotografuję dalej ten dürerowski danse macabre. A że nie w pełni kontroluję swoje ruchy, w końcu jeden ze szkieletów próbuje mnie odepchnąć, bo zasłaniam mu widok, a inny syka na mnie z wściekłością, gdy potykam się o jego piszczele.

Nie zważam na to. W transie zdejmuję jeszcze finał pokazu i tuż po nim, krańcowo wyczerpany, rzucam się ku wyjściu na ulicę...

Pojechałem do studia. Chyba nigdy w takim jak wówczas napięciu nie czekałem na wywołanie błon. I nie wiem, czego byłem bliższy — ulgi czy rozczarowania? — gdy okazało się, że zawierają najnormalniejsze zdjęcia z najnormalniejszego pokazu (udane zresztą; sprzedałem je później bez trudu). Szokująca wizja rozwiała się bez siadów. Przez dłuższy czas dostarczało natomiast tematu do plotek moje zachowanie: mówiono, że przyszedłem do hotelu kompletnie pijany, że przechodzę kryzys, że się kończę... Ale wreszcie i plotki ucichły. Nie zostało nic. W takiej sytuacji rychło zapytywałem sam siebie, czy w ogóle coś mi się przydarzyło, czy nie wmówiłem sobie dziwacznych halucynacji. Jeszcze trochę, a myślałbym o tym coraz rzadziej lub nawet począłbym zapominać.

Nastąpiło jednak drugie uderzenie.

Leżałem w słońcu na śródziemnomorskiej plaży. Obok mnie wyciągnęła się na leżaku piękna dziewczyna, która przed dwoma dniami pozowała mi do aktów, a poprzedniego wieczoru wprowadziła się do mego pokoju w hotelu przy bulwarze. Cała plaża pełna była pięknych ludzi — młodych, wysportowanych, opalonych... Rozmawiano głośno, pokrzykiwano, śmiano się; morze szumiało; w podmuchach bryzy łopotały płótna parawanów i parasoli. Nagle rozległo się i przytłumiło inne dźwięki basowe brzęczenie. Gdzieś w pobliżu dziecięcy głosik zawołał: „Look, mammy, there is a pianę up in the sky!” Mrużąc przed blaskiem oczy obróciłem głowę w stronę, z której dolatywał intensywniejszy z każdą chwilą pomruk silników: srebrne ostrze kroilo błękit włokąc za sobą szary pióropusz spalin. Zwykły widok w okolicy wielkich lotnisk.

A jednak poczułem zimne dotknięcie niepokoju, twardy pierścień ścisnął mi krtań. Nim zdążyłem głębiej odetchnąć, samolot wykonał zwrot i pikując runął ku plaży. Potem rozległ się huk, świat pociemniał i wokół mnie rozpętało się piekło. Ruda kurzawa podniosła się nad lepkiem od krwi piaskiem, strzepy ciał walały się wszędzie, w tysiącu miejsc strzelały w górę płomienie... Tylko ja ocalałem, nikt więcej. Musiałem uciec z tego kotła kipiącego wszystkimi odcieniami czerwieni. Biegłem potykając się o trupy, grzęzłem w piachu, zaplątywałem się w strzepy ubrań i ręczników, padałem, podrywałem się i brnąłem dalej. Wreszcie osunąłem się na dno płytkiego leja i ogarnęła mnie gęsta ciemność.

Obudziłem się w hotelowym pokoju. Byłem sam. Na nocnym stoliku obok łóżka leżał tylko list od dziewczyny. Pisała, że przykro jej, ale niestety — musi natychmiast wyjechać, że będzie pamiętać o spędzonych ze mną chwilach, że na plaży zachowywałem się trochę dziwnie, ale na pewno przyjdę do siebie. I że ona życzy mi tego z całego serca. Po prostu zwiła. Nie, niech pan nie sądzi, że mam do niej pretensję czy żal. Na jej miejscu zachowałbym się wówczas identycznie; w naszej na wskroś

racjonalnej epoce panicznie boimy się bliźnich opętanych przez hańbiące nieracjonalne i dzikie demony, przy zetknięciu z nimi popłoch i rejterada to odruchy silniejsze niż my sami...

Po przeczytaniu listu zrozumiałem, że wygłupiłem się i ośmieszyłem po raz drugi: czerwony obraz rzezi, który pchnął mnie do szaleńczego biegu przez zatłoczoną plażę — ukazał się jedynie moim oczom. Dla pewności wyjrzałem jeszcze przez okno. Bulwar tętnił życiem, w kafejkach panował zwykły gwar, po morzu śmigwały kolorowe żaglówki. Nie mogło już być najmniejszych wątpliwości — samolot nie zmienił kursu, spokojnie odleciał w swoją drogę... Wyobraziłem sobie widowisko, które urządziłem, i poczułem na policzkach gorącą falę rumieńców. Zacząłem skręcać się ze wstydu. Za nic nie potrafiłbym zobaczyć się ponownie z plażowiczami; pospiesznie spakowałem walizki, starając się nie dostrzegać drwiącego — jak mi się zdawało — spojrzenia recepcjonistki, zapłaciłem rachunek, wyjechałem najbliższym pociągiem...

Oczywiście nie zdziwi pana, gdy powiem, że po tej drugiej przygodzie nie próbowałem już pocieszać się myślami o niewinnym przywidzeniu czy też o autosugestii. Pojąłem, że dzieje się ze mną coś naprawdę złego. Wsłuchiwałem się odtąd w samego siebie czatując na zapowiedź kolejnego ataku, ukrywałem się przed ludźmi, gdy tylko nasuwało mi się najdelikatniejsze choćby przypuszczenie, że dojrzewają pierwsze symptomy... Pyta pan, dlaczego nie skorzystałem z fachowej pomocy lekarskiej? Ha!, wizyta u psychiatry (nazywajmyż rzeczy ich właściwym imieniem!) oznaczałaby otwarte przyznanie, że stan swój uważam za chorobę.

A ja nie byłem do tego gotów. Wcale nie byłem!

Nieustanna czujność i sondy zapuszczane w głąb siebie nie zdały się na nic — mój demon nie pozwolił się przechytryć i po raz trzeci wstąpił we mnie w miejscu pełnym ludzi, raz jeszcze tam, gdzie znano mnie powszechnie i gdzie nie miałem najmniejszych szans na zbawczą zasłonę anonimowości.

Z trybuny dla korespondentów i dyplomatów fotografowałem defiladę na największym placu jednej ze wschodnioeuropejskich metropolii. Przez rozległą, kamienną płaszczyznę przepływały tysięczne szeregi sportowców, a nad ich głowami, na niewiarygodnie długich drzewcach, powiewały tęczowe sztandary; na chodnikach falowały tłumy, a dzieci na ramionach rodziców machały chusteczkami lub ścisnęły w rączkach sznurki baloników; wznoszono okrzyki i skandowano hasła: z całej mocy grzmiały wojskowe orkiestry; na niebie kołowało ogromne stado wypuszczonych właśnie gołębi...

Znienacka, jak rozedrgany splot węży, prześliznął się po mnie strumień chłodu. A w następnej sekundzie z placu zniknęli wszyscy ludzie. Wszyscy oprócz mnie. Zostałem kompletnie sam pośród opustoszałego, zamarłego miasta. Ze wszystkich stron oblepiała mnie doskonała, niczym nie zmacona cisza. Czuję jej przytłaczający ciężar, dusiłem się pod nim... I wtedy pomyślałem, że przede wszystkim właśnie przed ciszą muszę się obronić. Że koniecznie trzeba mi wyrwać się ze szczelnego kokonu, w którym mnie zamknęła, i w jakimkolwiek dźwięku znaleźć potwierdzenie tego, że wciąż żyję.

Krzyknąłem. Potem krzyknąłem głośnie. Awreszcie z moich piersi wydobył się ciągły, chrapliwy ryk. Żył nabrzmiewały mi na szyi i skroniach, paląca czerwień wypieków zalewała twarz, płuca zdawały się pękać, a ja nadal ryczałem, wyłem, skowytałem... Uspokoilem się dopiero w ambulansie, którym przewieziono mnie do szpitala o osłoniętych siatką oknami i pozbawionych klamek drzwiach

.....  
...Lęgną się we mnie podejrzenia: co naprawdę dolegało Holdowi? czy zdołano go wyleczyć?, czy nie słucham przypadkiem nasiąkniętej chorobliwymi wyobrażeniami spowiedzi szaleńca?

Myślę zaraz: a jego magiczna moc?, władza nad częścią przestrzeni, w której uwięził mnie na początku rozmowy? I sam sobie odpowiadam: szalenciec też |może być obdarzony zdolnościami hipnotyzera, przez nie tym bardziej staje się niebezpieczny...

Moja niepewność rośnie z każdą chwilą.

A Hold uśmiecha się tylko z łagodną ironią. Cały wyraz jego twarzy zdaje się świadczyć, że bez trudu podąży tropem moich, nie wypowiedzianych przecieży, wątpliwości i wahań. Nie próbuje ich jednak rozproszyć, nie usiłuje przekonywać mnie w starannie dobranych słowach o swojej poczytalności, nie stara się nawet o najzwyczajniejszy Uspokajający gest (może czuje, że w ten sposób pogłębiłby jedynie moją nieufność?, a może poddaje mnie jakiemuś testowi?). Przechodzi do porządku nad dręczącymi mnie pytaniami i jak gdyby nigdy nic ciągnie swoje wspomnienia

---

— Leczyłem się później w trzech najsłynniejszych klinikach trzech różnych krajów. Na każdej geograficznej długości brodaci doktorzy tak samo ćmili swoje fajki o pękających cybuchach i tak samo przypatrywali mi się z mieszaniną życzliwości i chłodnego zainteresowania w oczach. A następnie stawiali odmienne diagnozy i przepisywali mi coraz to nowe zestawy kolorowych pastylek. Ileż pięknych łacińskich nazw nadano memu stanowi! Z jakąż uczonością ja sam rozprawiałem w gronie pacjentów o nerwicach, depresjach, schizofrenii i ostrych zespołach psychoorganicznych! A w gruncie rzeczy gdzież mi było do prawdziwego cierpienia, gdy z radosną gotowością podejmowałem wyznaczone przez lekarzy role neurotyka czy psychotyka! Dziwi to pana? Wyjaśnienie jest nader proste: podporządkowałem się duchowi techniki przenikającemu naszą rzeczywistość i uznałem mój biedny mózg za maszynkę, która uległa defektowi i wymaga naprawy. Zwykły defekt — nic więcej! W klinikach nadawano mi nazwę i połowa lęku zniknęła. Fachowcy z tych naprawczych warsztatów wiedzieli już przecieży, w czym tkwi szkopuł, i mogli przystępować do działania. Na pewno nie raz i nie dwa zreperowali identyczne przypadki. Uważałem, że mogę im zaufać, cieszyłem się, gdy doznawałem wrażenia, że ich praca postępuje naprzód...

Co? Przepraszam, myślałem przez chwilę o czymś innym. Nie zastanowiło pana, że nikt, najzupełniej nikt, nie spróbował dopatrzeć się w moich przeżyciach czegoś więcej niż objawów choroby? Że nikt nie pokusił się o nadanie im innej interpretacji? A jakaż by tu mogła być inna interpretacja, co? Proszę przyznać, że pan tak pomyślał. No właśnie, kiwa pan głową. Nie, skądże, wcale się nie gniewam! Widzę tylko, że nie obejdzie się bez wyłożenia panu kilku moich przemyśleń. Co właściwie przydarzyło mi się na pokazie mody, na plaży i na defiladowym placu?

Nic poza tym, że przez chwilę widziałem obraz świata całkiem odmienny od tego, jaki był udziałem pozostałych obecnych tam ludzi.

A jak powstaje obraz świata? Barwy, światła i dźwięki nie istnieją przecieży. To tylko nasze zmysłowe receptory odbierając drgania akustycznych i elektromagnetycznych fal przetwarzają je w melodie i pejzaże. I na dodatek ten odbiór dokonuje się w mizernych, wąskich zakresach, będących ledwie wycinkami pełnego pasma.

Wystarczy więc, by znalazł się ktoś potężny i rozszerzył lub przesunął w nas owe wycinki, by przestroił nam nieco uszy i oczy, a nasz obraz świata bez reszty się zmieni. A gdyby ten sam ktoś nadał na odpowiedniej fali informację przeznaczoną dla jednego tylko, przezeń wybranego, człowieka? Czyż nie mogłoby to zrodzić wizji podobnych do moich? No tak, ale wierzyć w istnienie takiego kogoś znaczy trwać w chorobie, pograżać się w jej cięższe stadium...

Przynajmniej według brodatych doktorów z fajkami

.....  
...Ostatecznie nabieram przekonania, iż Hold w najlepsze igra sobie ze mną na przemian

naprowadzając mnie na myśli o tym, że jest obłąkany, i o tym, że nie jest. Ślizga się po krawędzi, raz przesłaniając, a raz odkrywając mroczną, ziejącą, pełną zjaw, niepokoju i zamętu przepaść. Może w ten sposób pragnie dowieść mi względności wszystkich naszych sądów w tej mierze? W każdym razie osiąga tyle, że rozstrzygająca ocena owej dwoistości przestaje mi się w końcu wydawać sprawą pierwszorzędą czy choćby istotną. Niezależnie od niej chcę do końca wysłuchać całej historii. I moja uwaga nie słabnie ani trochę nawet wtedy, gdy Hold brnie w dygresje lub przeplata zdania niosące przeciwstawne treści

---

— Ach, ci wszechwiedzący brodacze... Uznali mnie wreszcie za uleczonego i wypisali z ostatniego szpitala. Cóż zresztą innego mogli zrobić? Wizje nie powtarzały się, byłem spokojny, w tłumaczeniu moich przeżyć nie wychodziłem poza bezpieczny grunt psychiatrii; słowem — maszynka mózgu została zreperowana i mogła funkcjonować dalej... A przecież miałem świadomość, że nie otrzymałem pełnej odpowiedzi, pozostało mi przecucie jakiejś nieścistości, pustki, dziury, białej plamy... Wiedziałem, że albo choroba nadal tli się we mnie, albo też nigdy chory nie byłem, a wszystkim odprawianym nade mną medycznym egzorcyzmom od początku brakowało sensu... Jednakże przyjmując tę drugą możliwość... No nic, dajmy temu na razie spokój...

Jako człowiek, któremu wydano urzędowy atest normalności, natychmiast i bez najmniejszych wahań powróciłem do dawnego trybu życia. W tydzień po opuszczeniu kliniki fotografowałem już ślub pewnej książęcej pary, a w miesiąc znalazłem się na kolejnym froncie. Później zdążyłem jeszcze zaliczyć skażenie morza ropą z przełamanego na pół tankowca, dwa tajfuny, wielki rajd samochodowy i walki gangów młodzieżowych na ulicach miast. Wracałem właśnie z tej ostatniej reporterskiej wyprawy, gdy spotkało mnie nowe, niezwykle przeżycie.

Usłyszałem nagle krótki dźwięk stanowiący coś pośredniego między głosem szklanego dzwoneczka a czynelowym szelestem osypującej się po stłuczeniu szyby. Jednocześnie doznałem wrażenia wzrokowego, którego istoty początkowo w ogóle nie potrafiłem określić, a które później zwykłem przyrównywać do patrzenia lewym okiem przez wizjer jednego, a prawym drugiego aparatu fotograficznego — na dwa zupełnie różne cele. Poczułem też silny ból w tyle głowy. Wszystko trwało z pół sekundy, może sekundę.

Zatrzymałem się jak człowiek niespodziewanie uderzony i lekko ogłuszony ciosem. I przez moment podejrzewałem nawet, że ktoś mnie uderzył. Ale rozejrzawszy się nie zauważyłem w pobliżu nikogo. Nie zdołałem zapamiętać obrazów, które mi się ukazały. Zachowałem jedynie drażniący smak impresji towarzyszącej zetknięciu z ostrą, diametralną rozbieżnością w ich treści. Czekałem jeszcze trochę; nic więcej nie nastąpiło...

Nie, nie poszedłem do lekarza. Chciałem się wpierw upewnić, czy półsekundowe doznanie było jednorazowym, niepowtarzalnym wstrząsem (któż z nas nie czepia się krzepiących złudzeń?!), czy też będzie miało ciąg dalszy.

Rozstrzygnięcie kwestii przyszło już po dwóch dniach: przeglądałem właśnie najświeższe odbitki, gdy ponownie usłyszałem muzykę rozsypujących się szyb. Tym razem dźwięk trwał dłużej, a jego natężenie wzrosło. Mocniej też rozboleła mnie głowa. Zaś obrazy zatrzymały się przed moimi oczyma tyle czasu, że bez trudu wniknąłem w tematy obydwu: to były moje własne zdjęcia! Lewym okiem widziałem „Głód”, o którym już panu wspomniałem, scenę z dzieckiem i psem uchwyconą dokładnie tak, jak wtedy, gdy pierwszy raz ujrzałem ją w ramce matówki. Przed okiem prawym pysznił się ogromny stół pełen półmisek z wyszukаныmi potrawami, który nakryto w niezwykle eleganckiej i piekielnie drogiej restauracji, abym zdjął go do jej reklamowego folderu; na pierwszym planie, ale nieco z boku, by nie zasłonić samego stołu, wyfraczony kelner unosił na rozstawionych

palcach jednej dłoni tacę z imponującym homarem. Niech pan zwróci uwagę na fakt, że — podobnie jak poprzednim razem — nie oglądałem wcale dwóch gotowych, leżących obok siebie i jednocześnie mi zaprezentowanych odbitek. Nie! Wrażenie polegało na czymś zupełnie innym: moje oczy znowu zdawały się patrzeć przez wizjery dwóch różnych kamer. Obrazy objęte okiem soczewek żyły, a nieruchomiały dopiero pod moim spojrzeniem, ponownie — tak samo jak wtedy, gdy rzeczywiście je zauważyłem i sfotografowałem — z wielowymiarowej jawy przemieniały się dla mnie w płaską kopię samych siebie. Rozumie mnie pan?! — obserwowałem ich bezruch i zarazem czułem w nich życie. Może to nie będzie najlepsze porównanie, ale inne nie przychodzi mi w tej chwili do głowy: przypominało to moment z kina, gdy film zatnie się na jednej klatce, a jeszcze nie jest zerwany przez kręcącą się nadal szpulę projektora — na ekranie wszystko wrywa się do przodu, kołysze się, drży, a jednak nic się nie dzieje, nie zostaje zrobiony żaden gest... Dwoistość mojego widzenia podkreślał jeszcze jeden akcent. Musi pan wiedzieć, że należałem do tych doświadczonych fotografów, którzy używając filmu czarno-białego potrafią postrzegać w czerni i bieli cały krajobraz. Niebo, trawa, kwiaty — wszystko, co obejmuje wizjer kamery, stanowi dla nich jedynie odcienie tych dwóch barw. Zaś posługując się filmem kolorowym od pierwszego zerknięcia przez celownik mają przed oczyma obraz bardziej witalny, bogaty i soczysty niż rzeczywistość, dokładnie taki, jaki ukaże przyszła odbitka. Otóż w tych dwóch aparatach fotograficznych, których natrętna obecność współtworzyła moje dziwne doznania wzrokowe, czułem odmienne filmy — czarno-biały po lewej, a kolorowy po prawej stronie...

Jak mówiłem — tym razem atak trwał dłużej. Nie sekundę, ale z dziesięć albo i piętnaście. Szklane szelesty były znacznie głośniejsze. I o wiele mocniejszy ból czułem w tyle głowy.

Ale kres wizji i wrażeń okazał się równie nagły i zupełny jak poprzednio — w jednym mgnieniu wszystko odplynęło, minęło, znikło... Znowu nie pozostał najmniejszy nawet ślad. Wstałem znad sterty odbitek i podszedłem do telefonu. Zacząłem wykręcać numer kliniki, w której przebywałem przed powrotem do pracy. Po piątej cyfrze zmieniłem jednak zamiar. Odłożyłem słuchawkę... Co wpłynęło na taką decyzję? Och, chyba nic szczególnego. Myślę, że dojrzewiała we mnie już znacznie wcześniej; wtedy, gdy dwa dni wstecz, po pierwszym ataku, postanowiłem odwlec wizytę u lekarza, a także wtedy, gdy nieśmiało zacząłem szukać własnego, odmiennego niż lekarski, klucza do mego świata omamów i zjaw. Po prostu przestałem wierzyć w medycynę, w to, że może mi przyjść z pomocą. Tuż przed gestem odłożenia słuchawki ostatecznie powziąłem przekonanie, że pomoc muszę sobie sam.

Przed laty, za moje pierwsze naprawdę wysokie honorarium, kupiłem drewniany dom na skalistym brzegu jednego z jezior Szwajcarii. Przeważnie stał pustką, ale teraz przypominałem sobie o nim. Pachnące żywicą, surowo urządzone izby, nieskażona przyroda, cisza i samotność oto oprawa, która wydała mi się całkiem właściwa dla wewnętrznych, duchowych zmagania. Postanowiwszy, iż wyjadę, zacząłem działać z gorączkowym pośpiechem: pragnąłem znaleźć się na miejscu, nim kolejny atak obrazami z przeszłości zasłoni mi teraźniejszość, a nie wiedziałem przecież, ile czasu mam przed sobą. W jedno popołudnie uporządkowałem wszystkie swoje sprawy, później spakowałem walizki i torbę ze sprzętem, a wieczorem mogłem już zatrzasnąć za sobą drzwi mojego porsche.

Przez blisko dwadzieścia godzin nie puszczałem prawie kierownicy. Nadchodził kolejny wieczór, gdy wyjechawszy zza zakrętu opasującej górę drogi, ujrzałem w dole nasączone blaskiem zachodzącego słońca odwieczne drzewa, gładką taflę wody i spadzisty dach chaty. Piękny, spokojny zakątek...

Ale w mojej pamięci miał się zapisać uczuciem nieustannego napięcia, paroksyzmami bólu,

dręczącymi wizjami i wreszcie pragnieniem śmierci. Właśnie tam przeszedłem przez wszystkie kręgi mojego ziemskiego czyśćca.

.....  
...Kelner skończył już swoją pracę, pogasił wszystkie lampy oprócz tej, pod którą stoi nasz stolik, a teraz podchodzi ku nam przerywając wynurzenia Holda. Pyta, czy zostaniemy jeszcze i czy coś nam podać. Hold potakuje. Prosi tylko o wodę i lód. Otrzymałszy je dzwoni przez chwilę przezrzystymi kostkami o brzeg szklanki i wpatruje się w nie tak, jak gdyby szukał szczególnego ich układu, jakiejś jedynej właściwej kompozycji. Nagle rozwiera dłoń. Cofa ją. Naczynie nie spada i nie roztrzaskuje się. Zawisa w powietrzu, potem płynie wolno i majestatycznie, na koniec miękko ląduje na blacie stolika. Hold unosi głowę i bada mnie rozbawionymi oczyma. Ale wszelki ślad rozbawienia i pogody opuszcza go, gdy przystępuje do odmalowania swoich szwajcarskich przeżyć

— Zdążyłem jedynie zaparkować wóz i wnieść bagaże. Gdy stanąłem przy oknie, by nieco odetchnąć i nacieszyć wzrok wspaniałością panoramy, rozpaloną szpilą w tył mojej głowy wniknął ból. Wśród huku szklanej kaskady przylgnęły do moich oczu dwa wizjery. W lewym zobaczyłem skupioną twarz strzelca: policzek rozplaszczony na kolbie karabinu, zaciśnięte usta, opuszczoną lewą powiekę i zmrużenie prawej, spod której kamienna źrenica śledziła cel — wiedziałem, że był nim człowiek. Wizjer z prawej wypełniła twarz na pozór bardzo podobna — równie skupiona, twarz chirurga twardo walczącego o życie pacjenta. Żadne z tych dwu obliczy nie było mi obce — sfotografowałem je kiedyś, sfotografowałem je tak samo, jak pary scen z moich wcześniejszych widzeń. I teraz, obserwując w zbliżeniu każdą ich zmarszczkę, każdy pęcherzyk na brodzie, włos w nosie, fałdkę, zgrubienie i plamkę, w obu czułem życie, po stronie lewej znowu zakłęte w czerń i biel, a po prawej w przejaskrawienia technicoloru...

Mój pierwszy atak dwoistego widzenia, ten, który przeżyłem na ulicy, trwał niespełna sekundę. Drugi już sekund piętnaście... Nie zdziwi się więc pan pewnie, gdy powiem, że twarze z ataku trzeciego tkwiły przed moimi oczyma jeszcze dłużej. Wyrażna tendencja, powiada pan? Otóż to! Po ataku trzecim przysłyły czwarty i piąty, a później następne: coraz boleśnieszsze, ciągnące się minutami, kwadransami, a wreszcie godzinami, rozdzielone kurczącymi się nieustannie chwilami spokoju... W piątym czy szóstym dniu pobytu nad jeziorem uzmysłowiłem sobie, że wizje i towarzyszące im cierpienia pochłaniają już większą część mego czasu. Że więcej skręcam się na łóżku lub podłodze dręczony pulsującym ogniem pod czaszką i nie chcianymi wspomnieniami niegdysiejszych spostrzeżeń, niż zaznaję ulgi... Tym, co powiem teraz, znowu pewnie pana skłonię do podejrzwania mnie o nieuleczalne szaleństwo, ale nie chcę zatajać niczego: doszedłem wtedy do wniosku, że ofiarowywane mi momenty wytchnienia biorą się jedynie stąd, że potrzebne są memu dręczycielowi, że owa tajemnicza potęga, która nade mną zapanowała, zużywa je na przesunięcie klitek w specjalnym projektorze przeznaczonym do zadawania mi cierpień.

W jednym z takich przeblysków przytomności nadałem list zawierający polecenie przysłania mi nad jezioro archiwum, w którym zgromadzone były odbitki wszystkich moich zdjęć. Gdy kilka dni później z pocztowej furgonetki wyładowano przed moim progiem stertę białych, kartonowych pudeł, w szwajcarskim epizodzie rozpoczął się nowy etap. Odtąd, tuż po ustaniu każdego z kolejnych ataków, zanurzałem się w gąszcz poprzedzielanych płatkami bibułki fotogramów. Wyławiałem spośród nich parę, która dopiero co była ożywioną rzeczywistością w przyklepionych do moich oczu wizjerach. Kładłem zdjęcia przed sobą. Z własnej już woli przypatrywałem się im przez długie chwile. Nierzadko zaskakiwał mnie przy tym następny atak.

Z biegiem dni liczba zdjęć wydobytych przeze mnie z archiwum urosła do stu pięćdziesięciu

czterech. Na jednym stosie piętrzyło się siedemdziesiąt siedem barwnych obrazów potęgi i obfitości, radości i dobra, nowoczesności i wiedzy...

W siedemdziesięciu siedmiu czarno-białych wizjach z drugiego stosu tryumfowały zło i rozpacz, nędza i mord, choroba i głód... W siedemdziesięciu siedmiu parach zdjęć blask i cień zderzały się ze sobą, przeczyły sobie wzajem, krzyczały dramatycznym dysonansem... W parze szły gnące się od frykasów stoły i zeszkieleciałe ciała dzieci, twarze uzdrowicieli i twarze zabójców, cuda techniki i zatruta przyroda; obok siebie stały wykładane marmurami wille i rozpaczliwie zaniedbane szpitale, lśniące czołgi i szkoły pod gołym niebem, ogromne olimpijskie stadiony i nędzne baraki inwalidzkich przytułków; sąsiadowały ze sobą wspaniałe, pyszniące się czerwonymi emblematami stroje kosmonautów i szare, liche waciaki robotników, uniwersyteckie salę pełne młodzieży słuchającej wybitnych myślicieli i wodne armatki policji, tłumy modlące się o pokój i tłumy pod transparentami głoszącymi wojnę...

Spomiędzy gładkich arkuszy światłoczułego papieru wychylało się ku mnie nagie oblicze współczesności: absurdalne, groteskowo wykrzywione, aż do obłędu głupie...

Pośród piekielnych cierpień torowała sobie drogę ku mojej świadomości myśl tyleż przerażająca, co oczywista — myśl o niedorzeczności ciężącej na każdej sekundzie istnienia naszego świata.

W tej samej sekundzie, w której z poświęceniem ratowano gdzieś ludzkie życie, gdzie indziej inne ludzkie życie brutalnie niszczone, w tej samej sekundzie ktoś konał z głodu, a ktoś inny wymiotował po wielkim obżarstwie, w tej samej sekundzie, gdy w głowie jednego człowieka dojrzywała nowa, wspaniała idea, inny człowiek sięgał po pałkę, by zabić wszelką wolną myśl... Jednocześnie biadano nad brakiem środków na walkę z największymi bolączkami ludzkości i wydawano miliardy na doskonalenie narzędzi mordy, chociaż już i tak było ich dosyć, by każdą żywą istotę na Ziemi uśmiercić kilkakrotnie; jednocześnie rozpalano w masach pożądanie wciąż nowych tandetnych zabawek i odbierano im w zamian świeże powietrze, czystą wodę i piękno krajobrazów; jednocześnie sięgano w kosmos i podtrzymywano archaiczność powszedniego bytowania... Wszystko to działo się jednocześnie!

Od momentu, w którym ów fakt ostatecznie dotarł do mnie, widma bezsensu i totalnej zagłady owładnęły mną bez reszty. Przytłoczyły mnie czarnym ciężarem bezzadności, odebrały mi resztę jakiegokolwiek nadziei

.....  
Hold milknie wyczerpany końcowymi zdaniami, które wypowiadał z dławiącym krtań pośpiechem, nieledwie wykrzykiwał jednym tchem. Napięty, ze zmarszczonymi brwiami i zachmurzonymi oczyma zdaje się doznawać obłąkańczych sprzeczności świata z intensywnością równą tej, która musiała być jego udziałem, gdy pierwszy raz odczytał prawdziwy sens własnych zdjęć.

Jego nastrój udziela się i mnie: przypomina mi się nagle tysiąc wielkich problemów, których ogarnięcie przerasta siły mojego umysłu, z zupełną bezsilnością myślę o enklawach dobra i piękna pożeranych przez brzydotę i zło, w blasku jaskrawszym niż kiedykolwiek widzę wysokie i gładkie ściany ślepej uliczki, w którą zabrnęła ludzkość...

Hold sięga po dzbanek i dolewa wody do swojej szklanki. Wypija ją trzema długimi łykami. Jego twarz rozpogadza się nieco, zaś w chwilę później, gdy po rozwarciu dłoni naczynie znowu odlatuje wolniuteńko ku blatowi Stolika, pojawia się na niej nawet uśmiech. Ten sam uśmiech, przybrawszy odcień cokolwiek przepraszający, towarzyszy kilku następnym zdaniom.

— Wiem dobrze, że słuchając mnie, ma pan prawo skwitować wszystko dwoma słowami: truizm



i banal! Bo też rzeczywiście nie byłem w tych wywodach szczególnie oryginalny. Powtarzałem prawdy tak oczywiste i powszechnie znane, że można by je uznać za w ogóle niewarte głoszenia.

Świat kołysze się nad otchłanią, świat grzęźnie w nierozwiązalnych sprzecznościach, świat pełen jest zbrodni, głodu i cierpienia — któż z nas jeszcze o tym nie wie?! Ale niechże spróbuje pan chociaż raz pomyśleć o tym inaczej: niech uwolni się pan od spokojnego chłodu abstrakcyjnych pojęć, takich jak zbrodnia, głód czy cierpienie, i w sposób na wskroś osobisty, bez wygodnego dystansu, przeżyje treść współczesności. Teraz, dokładnie teraz, gdy my dwaj siedzimy tutaj syci i bezpieczni, o cztery tysiące kilometrów na zachód młody chłopak poddawany jest wymyślnym torturom, o trzy tysiące kilometrów na południe na oczach matki umiera z głodu dziecko, o dwa tysiące kilometrów na wschód żołnierz, wbrew woli i sumieniu wcielony do plutonu egzekucyjnego, naciska cyngiel mierząc w pierś przywiązanej do słupa dziewczyny. Rozumie pan?! — to wszystko dzieje się właśnie w tym momencie! Niech pan wyobrazi sobie bardzo dokładnie każdą z tych scen: paznokcie zdzierane z palców, słabnący oddech dziecięcej agonii, ciało rozrywane kulami i tryskającą krew... Niech pan poczuje, że ludzie pogrążeni w ten koszmar to pańscy bliscy: kobieta, którą pan kocha, pańskie własne dziecko, pańscy bracia... Niech te wizje i ta świadomość towarzyszą panu bez przerwy... I niech wtedy spróbuje pan zachować spokojne tętno, niech pan spróbuje pozostać normalny.

.....

Wypowiadając ostatnie, pełne gryzącej ironii słowa, Hold wbija przenikliwe spojrzenie prosto w moje źrenice. Dwa wrzące strumienie wdzierają się we mnie, dosięgają mózgu i parzącą falą rozlewają się pod czaszką. I oto podnosi się przede mną kurtyna wielkiej, zawieszanej w ciemnej i mglistej przestrzeni sceny, a na jej trzech planach rozgrywają się dopiero co opisane zdarzenia. Coraz wyraźniej dostrzegając szczegóły martwieję: wszystkie twarze mają znajome rysy, rysy zapamiętane lepiej od innych, kochane, najbliższe... Wiem, że to nieprawda; że to nie może być prawda; że to tylko hipnoza, straszny żart... A przecież jednocześnie niezwykła plastyczność obrazów każe mi w nie uwierzyć, przymusza do uznania ich za rzeczywistość. Po chwili nie umiem się już obronić: bez reszty ulegam złudzie! Zapominam, że jest złuda! Czuję, jak gdzieś wewnątrz mnie napina się do ostateczności sprężyna, która w następnej sekundzie albo pęknie, albo popchnie mnie do szalonego skoku — z zaciśniętymi pięściami, ustami otwartymi w przerażającym krzyku, głową naprzód... Ale właśnie wtedy, gdy owa krańcowa sekunda nadchodzi, Hold zdejmuję ze mnie czar. I zaraz powraca do opowieści o połączonych w pary fotografiach

— Siedemdziesiąta siódma para okazała się ostatnia. Barwne, reklamowe zdjęcie imponującej trumny, trumny rzeźbionej w palisandrze i wybitej jedwabiami, osłoniętej aluminiowym płaszczem i wyposażonej w skomplikowany system chroniący wewnątrz przed wilgocią, kosztującej krocie — połączyło się z zatopioną w szarościach reportażową klatką, która ukazywała nędzne łóżeczka noworodków w przepelnionej sali szpitala dla biedoty. Nie sądzi pan, że to bardziej symboliczne niż wszystko, co ukazało mi się wcześniej? Luksus dla truchła, dla gnijącego śladu po życiu minionym, a chłód i głód dla życia kiełkującego — w tej różnicy warunków zawiera się istota naszych czasów. W gruncie rzeczy fascynuje nas śmierć, chociaż nie bardzo chcemy się do tego przyznać. Tanecznie krążymy wokół niej i przywabiamy ją wymyślniejszymi wciąż i kosztowniejszymi darami. Udajemy, że zabezpieczamy się przed nią, ale w głębi ducha, może nawet wcale sobie tego nie uświadamiając, zaczynamy jej pożądać. Dla życia pozostaje nam coraz mniej... Śmiesznie mało... A propos: nie tak daleko stąd, w Kalkucie, jest bardzo dziwny szpital. Nie słyszał pan o nim? Zakonnice, które go prowadzą, wyszukują na ulicach miasta zagłodzone dzieci. Dzieci zbyt już wyczerpane, by można je

uratować. Dobre kobiety postawiły sobie tylko jedno zadanie: umilić małym ludziom ostatnie chwile, stworzyć im godziwe warunki umierania... Niech pan tam kiedyś koniecznie się wybierze! To będzie bardzo ważny krok na pańskiej drodze... drodze do zrozumienia świata...

Więc jak już powiedziałem — siedemdziesiąta siódma para zdjęć była ostatnią. Po ataku, który ją przyniósł, mój stan znowu uległ zmianie. Głowa bolała mnie już teraz bez przerwy — tępo, monotonicznie, przytłaczająco... Od czasu do czasu ból stawał się ostry i wtedy zatrzymywała się przed moimi oczyma jedna ze znanych mi już, podwójnych wizji. Trwało to tylko tak długo, bym zdążył rozpoznać zdjęcia. Znikały zaraz potem, a ból łagodniał... Do następnego razu... Sto pięćdziesiąt cztery powiększenia wydobyte z archiwum, siedemdziesiąt siedem wizji powracających przemiennie przed moje oczy — krąg zamknął się, a ja nie próbowałem już wydostać się z niego. Przepiętnym beznadziejnym zmęczeniem pogodziłem się z pulsującym, rozdwojonym fotoplastykonem, do którego przemocą mnie wepchnięto. Przystałem na to, by wszystkie moje myśli obracały się wokół zżerających świat nonsensów. I nawet nie wiem, w jakim momencie pojąłem, że prześladowające mnie obrazy tworzą jednolite dzieło, że składają się na gotowy, pełen wyrazu album. Prawie jednocześnie przyszedł mi do głowy tytuł — „Pęknięcie, 77”. A zaraz potem napisałem króciuteńki wstęp. Pamiętam go dobrze do dziś, powtórzę panu: „Świat spękał. Popękał w wielu miejscach, a teraz rysy zamieniają się w szpary, szpary pęcznieją w rozpadliny, rozpadliny pogłębiają się w przepaście... Nikt już nie zdoła objąć i na nowo scalić rozsypującej się, obłąkanej planety.

Zbyt dalekie są brzegi rozmnożonych otchłani. Dalekie jak obrazy z tych brzegów”. Napisałem też i list do wydawcy moich poprzednich albumów. Prosiłem w nim o jak najszybsze opublikowanie „Pęknięcia”. Wyjaśniałem, że poza wstępem nie przewiduję żadnych tekstów, że podpisy pod zdjęciami nie są potrzebne. Dodawałem, że nie mam zamiaru targować się o wysokość honorarium i przyjmę każde warunki. A w zakończeniu umieściłem zdania, które brzmiały mniej więcej tak: „To mój ostatni album. Doszedłem w nim do końca moich przemyśleń, a przez to i twórczości. Nie sposób fotografować, gdy nieuchronnie zbliża się dzień, w którym jakiś starzec — z tej, z tamtej albo jeszcze z innej, wszystko jedno jakiej, strony — wyciągnie drżącą, suchą i zimną dłoń ku guzikowi otwierającemu piekło. Nie umiem uwolnić się od tego przekonania. Mimo wszystko życzę zdrowia i stu lat”. Poniżej podpisałem się pełnym imieniem i nazwiskiem. Zapakowałem powiększenia, negatywy, kartkę z tekstem wstępu i list do dużej koperty. Walcząc z bólem i dwa razy zatrzymując się w ostatniej chwili dla przeczekania paroksyzmu, doprowadziłem wóz przed urząd pocztowy w pobliskim miasteczku. Nadałem przesyłkę i tą samą drogą, znowu pełznąć na drugim biegu i rozpaczliwie hamując, wróciłem nad jezioro.

Następnego dnia o świcie wysypałem na ziemię zawartość dwóch stojących za domkiem pojemników na śmiecie. Upchałem w nich pozostałą część mojego archiwum, wrzuciłem ulubioną kamerę, obiektywy w skórzanych futerałach, kasetę z filtrami, rolki błon, dopełniłem wszystko kamieniami i znalezionym w piwnicy żelastwem. Zawlokłem pojemniki na przystań, wtaszczyłem do łodzi. Chwyciłem za wiosła i wypłynąłem na sam środek jeziora. Tam wypchnąłem ładunek za burzę; błyskawicznie pogrążył się w głębinie. Chce pan pewnie teraz zapytać, dlaczego zniszczyłem tyle cennych rzeczy? I dlaczego zrobiłem to w sposób tak ceremonialny? No cóż — potrzebowałem widocznie takiego wyraźnego gestu, dla samego siebie musiałem nim podkreślić dotarcie do kresu drogi. Nie było powrotu! Nadchodził nieodwracalny finał! Razem z pojemnikami ginął w czarnej wodzie decydujący kawałek mojego życia. Ja sam ginąłem. To był pogrzeb. Pierwszy z moich pogrzebów...

Wróciłem do brzegu. Przycumowałem łódź. Już na pomoście znowu powalił mnie ból, a któraś z par zdjęć jeszcze raz przemknęła przed moimi oczyma. Leżałem przez chwilę nabierając sił. Potem

podniosłem się i powlokłem do samochodu. Wsiadłem. Ruszyłem. Mocno wdusiłem pedał gazu i porsche błyskawicznie nabrał szybkości. Po pokonaniu kilku zakrętów wjechałem na kilkusetmetrową, łagodnie opadającą w dół prostą.

Tutaj przyspieszyłem jeszcze. Wiedziałem, że nieco dalej stok zmienia swój charakter, że przeradza się w strome urwisko, które droga pokonuje wygiętymi w kształt końskich podków zakosami, że nie sposób przejechać tamtędy szybciej niż czterdziestką... Wiedziałem o tym wszystkim i spokojnie patrzyłem, jak wskazówka tachometru sięga krańca skali. Nawet nie drgnąłem przelatując obok nakazujących hamowanie znaków. I było mi przy tym naprawdę lekko. Wypełniała mnie wewnętrzna harmonia: przemyślałem przecież swoje doświadczenia, uporządkowałem sprawy, podjąłem decyzję... Wszystko było skończone. Skon — czo — ne!

Pozostawały mi jeszcze ułamki sekundy. Widziałem już przed sobą zabezpieczony barierami brzeg zakrętu, a porsche gnał całą mocą silnika. Nic nie mogło go zatrzymać. I wtedy... Niechże pan słucha uważnie, bo nadchodzi zwrotny, najważniejszy być może punkt w mojej historii! Wtedy poczułem, że nie jestem w wozie sam!

Nie spostrzegłem nikogo, ale wrażenie czyjejs obecności opanowało mnie całkowicie. Zaraz potem usłyszałem głos. Czy rozległ się tuż za moimi plecami?, czy słowa od razu, bezdźwięcznie przeniknęły do wnętrza mojej świadomości? — tego do dziś nie potrafię rozstrzygnąć. Jednak ktoś na pewno mówił do mnie: „Popełniasz błąd. Nie wykonałeś jeszcze zadania. Musisz żyć!” Nie miałem czasu na odpowiedź — niech pan nie zapomina, że wszystko rozegrało się w ułamku sekundy! — pomyślałem tylko: „Za późno! Nic już nie zdołam zrobić!” Ale głos — władający nim, myśl moją najwyraźniej odgadł — nie ustępował: „Walcz! Musisz walczyć! Zbierz całą moc!” Posłuchałem: wcisnąłem hamulec, szarpnąłem kierownicą... Nic z tego! — rozpedzona maszyna nie mogła się już ani zatrzymać, ani zmienić kierunku. Głos powtórzył: „Zbierz całą moc!” I nagle wszystko we mnie, wszystko, czym byłem — myśli, uczucia, rytm serca i bieg krwi w żyłach — stopiło się w jedno: w wolę odwrócenia nieodwracalnego. Osiągnąłem stan skupienia i koncentracji tak wielki, że wydałem się sobie małym, zwartym, bardzo ciężkim kamykiem, mikroskopijnym źródłem nieogarniętej energii...

A w mgnienie później, na milimetry przed barierą, oddzielającą drogę od krawędzi urwiska, wydarzyło się coś przeczącego prawom fizyki i zdrowemu rozsądkowi — porsche leciuteńko oderwał się od ziemi, w powietrzu obrócił się o sto stopni, miękko opadł na ubity żwir pobocza i znieruchomiał.

Przez długą chwilę siedziałem nie mogąc zrobić najmniejszego gestu. Potem wysiadłem z samochodu i postąpiłem niepewnie parę kroków. Głęboko wciągnąłem w płuca tęgi haust powietrza. W moim samopoczuciu pojawiło się coś nowego, coś, czego z początku nie potrafiłem pojąć i określić. Wreszcie zauważyłem przyczynę zmiany: nie dręczył mnie już ból. Potworna obręcz od tygodni gniołająca moje czoło — znikła.

Stałem rozglądając się dokoła. Nic nie zmieniło się w otaczającej mnie przyrodzie: góry były takie same jak zawsze, tak samo świeciło słońce, ten sam aromat unosił się w powietrzu. Panowała zupełna cisza. Nieco poniżej miejsca, w którym stanąłem, wśród kamieni jednego ze złobiących urwisko strumyczków, zauważyłem coś błyszczącego. Przedmiot ów zaintrygował mnie, ale dotrzeć ku niemu po stromym, śliskim osypisku wydawało się rzeczą niemożliwą. Mogłem tylko patrzeć, wpatrywać się, przyciągać wzrokiem... I stało się! Błyszczący drobiazg drgnął i przełamując prawo ciężenia popłynął ku mnie.

Chwyając go zrozumiałem, że niezwykłą siłą ofiarowano mi na dobre. Potem spojrzałem na zdobycz — była to stalowa kulka. Kilka razy podbiłem ją na dłoni i zamachnąłem się do dalekiego

rzutu. Nagle, nie bardzo zdając sobie sprawę dlaczego, zmieniłem zamiar. Schowałem kulkę do kieszeni. Nie wiedziałem jeszcze, że to mój talizman

.....  
Hold urywa. Kulka najwidoczniej zakłóca równy tok jego wspomnień: przymusza pewnie do skoku w czasie i wybiegnięcia ku dniom, w których jej znaczenie i właściwości ujawniły się w pełni, przyciąga jakieś ważne wątki poboczne, być może budzi rozleglejsze i głębsze rozmyślania... Nabieram przekonania, że za moment usłyszę o tym wszystkim, że teraz Hold wciągnie mnie już w sam środek swego świata. Oczekuję tego. I jednak okazuje się, że jestem w błędzie: po pauzie motyw kulki, motyw talizmanu, jakim być miała, nie powraca — historia odżywa w punkcie odrobinę wcześniejszym niż ten, w którym się urwała.

— Domyślam się, że w przygodę z samochodem uwierzył pan bez zastrzeżeń. Musiał pan uwierzyć! Przecież właśnie po to dwa razy zaprezentowałem panu tę sztuczkę ze szklanką... No a wcześniej był ten figiel... ten z obezwładnieniem pana... — mam nadzieję, że zdążył mi go pan już wybaczyć... Tak, tak, drogi panie, tuż przed śmiercią, którą sam wybrałem, nieoczekiwanie otrzymałem dar zupełnie niezwyklej władzy nad otaczającą mnie częścią przestrzeni. Dzięki tej władzy ocalałem...

Pyta pan, co było dalej? Otóż to! Przez bardzo długi czas — nic! Czy pamięta pan jeszcze trzy okresy, na jakie podzieliłem najważniejszą fazę w moim życiu? No właśnie — pokuty, wtajemniczenia i misji... Po niedosłej kraksie, wraz z ustaniem bólu i bezpowrotnym wygaśnięciem wszelkich wizji, skończył się okres pierwszy. Nie cierpiałem...

Ale do pełnego wtajemniczenia było jeszcze daleko: posiadałem już wprawdzie moją zadziwiającą siłę — z początku cieszyłem się nią jak dziecko, wypróbowywałem ją przy najbliższej okazji — nie wiedziałem jednak, kto i po co tak mnie obdarzył. W gruncie rzeczy nie pojmowałem też wówczas pełni związków między tym, co się w moim życiu skończyło, a tym, co się zaczęło. I w rezultacie całkiem nie umiałem sobie wyobrazić dalszego ciągu moich losów.

Pozostało mi czekanie. Nie odjeżdżałem znad jeziora w przekonaniu, że to tutaj — w pobliżu miejsca zdarzeń — nadejdzie ich wyjaśnienie. Cierpliwość straciłem dopiero po kilku długich tygodniach... Tymczasem chodziłem na wielokilometrowe spacerki, cieszyłem się przyrodą, którą wreszcie zacząłem naprawdę dostrzegać, rozmyślałem... Mój pogląd na świat właściwie nie uległ zmianie: nadal uważałem, że naszą planetę zżera obłęd, że sprzeczności nie do pogodzenia rozdierają tkanę cywilizacji, że ludzkość znalazła się o krok od niechlubnego końca... Ale przeszło mi upokarzające poczucie bezsilności. Z wolna budziła się we mnie gotowość do stawienia czoła temu szaleństwu, niepostrzeżenie dojrzewiała wiara, że zadaniu podołam. Nie znałem jeszcze sposobu, nie znałem dróg... Czekałem.

Pewnego dnia otrzymałem grubą kopertę: wydawca odsyłał proponowany przeze mnie album dołączając doń list i opinie recenzentów. Opinie były dwie. Obie fatalne. Pierwszy z recenzentów zarzucał mi „nieznośne moralizatorstwo w stylu show biznesu” i dowodził, że chciałem ukazać sprzeczności, a nie wyszedłem poza — zaraz, jak on to wyraził? o! już mam! — „nachalne operowanie kontrastami”. Drugi napisał, że „Pęknięcie, 77” było zamierzonym arcydziełem, a ukazało tylko moją artystyczną klęskę. Cóż, w świetle tych ocen decyzja wydawcy nie mogła zaskakiwać — nie zamierzał drukować albumu, zbywał mnie garścią pocieszających, grzecznościowych frazesów. Po latach nieprzerwanych sukcesów pierwszy raz przyszło mi przegrywać w sposób tak całkowity i bezdyskusyjny. Gdyby spotkało to mnie z pół roku wcześniej, na pewno bardzo bym to przeżył. Może nawet załamałbym się i później długo powracałbym do jakiej

takiej równowagi? Któż to wie... A czy może pan sobie wyobrazić, jak przyjąłem tę porażkę w rzeczywistości? Bez najmniejszego wzruszenia!

Natychmiast pogodziłem się z wyrokiem, uznałem, że nowy układ zdjęć i odkryty w tej drodze głębszy ich sens przeznaczone były najwidoczniej wyłącznie dla mnie. A wieczorem wrzuciłem pakiecik w ogień na kominku. Nie czując śladu żalu patrzyłem na zwijające się ruloniki, żółknące, brązowiejące i czerniejące, a wreszcie rozsypujące się arkusiki światłoczułego papieru. Wszystkie zwycięstwa, nagrody i splendory, jakie może ofiarować świat, wydawały mi się w tym momencie czymś małym, błahym i żalonym. Wobec problemów, które zdołałem dostrzec, i zadań, które (przezucie mi to mówiło) miałem podjąć — były nic nie znaczącym pyłem. Potwierdzało się po prostu, że nie należę już do kręgu moich dotychczasowych spraw, że wszystkie dotychczasowe skale ocen i hierarchie wartości przestały się dla mnie liczyć. Nic też dziwnego, że to ostateczne zakończenie historii ze zdjęciami przestało mnie zaprzętać wraz z wygarnięciem popiołu z kominka. I że nie wpłynęło właściwie na mój nastrój. Może tylko podniosło się nieco napięcie mego oczekiwania...

Upłynęło trochę czasu i jedna z kolejnych nocy przyniosła mi sen: stałem na wielkim placu wśród tysięcy innych ludzi, słyszałem gwar, jaki zwykły wydawać takie zgromadzenia, wraz ze wszystkimi na coś czekałem. Nagle nad naszymi głowami rozległ się grzmot. Podniosłem oczy w górę i zobaczyłem na niebie pulsujące kłębowisko tęczyowych chmur, obłoczny wir prześwietlony ukrytą za nim, niewiadomą jasnością. Po chwili okazało się, że kurtyna z chmur staje się coraz cieńsza, że coraz gorzej zasłania silniejsze wciąż, zbliżające się nieustannie źródło blasku. Zaraz musiała pęknąć... Zaraz musiała ukazać przez rozdarcie... Kogo? Co? Nie wiedziałem. Nikt nie wiedział. I na placu zapanował popłoch: ludzie krzyczeli i płakali, odpychali się nawzajem lub kurczowo w siebie wczepiali, próbowali uciekać... Ja jeden nie czułem lęku i pozostawałem spokojny. Miałem przeświadczenie, że to, co gna ku nam z góry, nie niesie ze sobą zła, lecz samo dobro. Nie potrafiłbym wyjaśnić, skąd mi się owo przeświadczenie wzięło, ale czułem, że tkwi ono we mnie głęboko, niezachwianie i od dawna. Więc nie odrywałem oczu od przerzedzających się, coraz jaśniejszych, ale jeszcze wciąż nieprzejrzystych chmur. Wzniosłem szeroko rozwarte ramiona i trwałem — pełen gotowości i radosnego poddania... Na tym sen się skończył.

Obudziłem się pełen wewnętrznej lekkości, spokojny i rozluźniony, ogrzany łagodnym ciepłem płynącym z poczucia, że dopiero co spotkała mnie jakaś wielka przyjemność. Zresztą przebudzenie nie od razu było pełne: jeszcze kilka chwil kołysałem się na pograniczu majaków i jawy, błądziłem po rozległych obszarach prawdziwych wspomnień oraz mniej lub bardziej realnych pragnień, snułem charakterystyczne dla takich momentów rozważania, w których wszystko cudownie do siebie pasuje, a które przywołane za dnia okazują się na wskroś nielogiczne.

Potem wstałem i podszedłem do okna. Na czarnym niebie lśniły punkciki gwiazd. Czy da pan wiarę, że dopiero wtedy, po raz pierwszy od dawna, przyszło mi na myśl, iż najważniejsze wyjaśnienia przyplyną do mnie stamtąd? Naprawdę!

Wypatrywałem czegoś w chłodnych, międzygwiazdnych przestrzeniach, gdy wożono mnie z kliniki do kliniki, zwracałem się w tamtym kierunku może i wtedy, gdy przybyłem nad jezioro... Ale — rzecz to doprawdy dziwna — od przygody w samochodzie nie powracałem do tego wcale. Cóż, jeśli nie niezwykle uniknięcie kraksy, powinno skłonić mnie do wybiegnięcia duchem poza Ziemię?! A jednak... Więc skąd właściwie spodziewałem się wyjaśnień, pyta pan? Och, chyba w ogóle nie zastanawiałem się nad tym. Po prostu — czekałem na nie, miałem pewność, że nadejdą. Zresztą kołacze mi się po głowie niejasne wspomnienie, że właśnie w tamtym czasie wiązałem moje przejścia z badaniami naukowymi. Wyobrażałem sobie chyba stadko profesorów w białych kitlach,

którzy pewnego dnia przybędą do mnie, by oznajmić, że bez mojej wiedzy przeprowadzili ze mną jakiś eksperyment... Tak, tak — to mogło być coś takiego... Natomiast owej nocy, po kolorowym śnie, znowu spojrzałem w górę. Ku niebu.

Interesuje pana, czy wierzę w Boga? Tak. Ale przecież nie śmiałybym przypuszczać, że to On poświęcił mi aż tyle uwagi. Niech pan zresztą zechce spostrzec, drogi przyjacielu, że szukając klucza do swych losów czy też prosząc o pomoc w konkretnym przedsięwzięciu, ludzie rzadko zwracają się do samego Boga. Błagają raczej o posłuchanie u istot doskonalszych od siebie i stojących wyżej, ale przecież jeszcze wyobraźalnych — u duchów przodków, u świętych, u aniołów, u dewów, u mieszkańców innych światów...

A może we wszystkich przypadkach i wszystkich religiach chodzi w gruncie rzeczy o jedne i te same istoty? Czy wie pan, jak modlą się do nich mnisi z klasztorów położonych w tych górach? Niech pan posłucha: „O Wy, panujący nad dziesięcioma kierunkami, o Wy, obecni w czterech punktach kardynalnych, w czterech punktach pośrednich, w nadirze i w zenicie, o Wy, obdarzeni zrozumieniem, obdarzeni boskim okiem, obdarzeni miłością, udzielający opieki wszystkiemu, co czuje, o Wy — bądźcie łaskawi — przez moc waszego wielkiego współczucia — przybyć tutaj”. Prawda, że to bardzo piękne? Słowa, które i ja mógłbym wykrzyknąć w bezmiar kosmosu... Wiemy duchowi epoki nie wzywałbym świętych cieni, lecz mędrców spod innego słońca... wysłańców szlachetniejszego niż nasz rodzaju... Ale przecież prosiłbym o to samo — o współczucie dla mojej skołatanej głowy i pękającej planety, na której żyjemy... i o przybycie z pomocą...

.....  
Hold mówi z modlitewnym zaśpiewem. Ale przecież równocześnie dźwięczy w jego głosie i przebija przez ten zaśpiew spokojna pewność czegoś oczywistego: mądre i życzliwe istoty z przestworzy najwyraźniej są dla niego nie mniej realne niż sąsiedzi z za rogu, niż ja, niż on sam...

Owładnięty nastrojem jego ostatnich słów bezwiednie obracam głowę ku wciąż otwartym drzwiom na taras, ku rozpostartej za nimi nocnej czerni. Myśli jedna za drugą płyną przez mój mózg: więc oni czuwają gdzieś tam?, patrzą na nas z oddali?, mogą tu przybyć? Przenika mnie dreszcz lęku i zarazem radości. Po chwili otrząsam się. Kolejny raz tego wieczoru napominam siebie: Uważaj!, dajesz się wciągać w jego szaleństwo! Obecnie to już naprawdę bzdury! Ale moment później i tak daję się bez reszty porwać nurtowi opowieści. Nie mogę się oprzeć wciąż dalej i dalej niosącym mnie słowom

— Znowu chodziłem po górach i wypływałem na jezioro.

I czekałem. Może nawet z nieco większym ładem w umyśle i sercu, bo przecież wiedziałem już, na kogo czekam. Ale może i bardziej niecierpliwie. Jednakże mijały godziny, dni i tygodnie i nie działo się nic. Nikt się nie zjawiał. Wciąż byłem zupełnie sam. Obdarzony niezwykłą władzą nad przestrzenią — gubiłem się w domysłach, do czego właściwie powinienem ją wykorzystać; wtajemniczony już w tak wiele — nie miałem nadal odpowiedzi pełnej; przekonany o potrzebie ratowania świata — nie robiłem nic.

Zna pan to stare powiedzenie, wedle którego pomoc można tylko tym, co sami sobie chcą pomóc? Mnie przypomniało się ono, gdy czas był już po temu najwyższy: dobiegał końca drugi miesiąc od dnia mego niedoszłego samobójstwa, kiedy zrozumiałem, że to ja muszę wyjść na spotkanie, że nie pozostaje mi nic innego, jak wyruszyć w świat na poszukiwanie innych śladów pozostawionych przez tych, których oczekuję, że następny kontakt z nimi może nastąpić zupełnie gdzie indziej... Wkrótce potem podjąłem ważne decyzje. Zacząłem od sprzedania wszystkiego, co zdołałem w życiu zgromadzić: domku nad jeziorem, samochodu, studia, mieszkania...

Obliczyłem, że suma zgromadzona w ten sposób na moim koncie umożliwi mi skromną egzystencję przez kilka, a może nawet więcej lat; na razie nie wybiegałem myślami dalej. W pokoju małego hoteliku w Zurychu — małe, tanie hoteliki stały się właściwie jedynym moim schronieniem — zgromadziłem wielką stertę książek telefonicznych, roczników adresowych, informatorów i almanachów. Godzinami wertowałem ich kartki wylawiając dane o najróżniejszych towarzystwach interesujących się niezidentyfikowanymi obiektami latającymi, instytucjach wylapujących sygnały z kosmosu i prowadzących doświadczenia z zakresu parapsychologii, bractwach okultystów, kolekcjonerach osobliwości... Nigdy przedtem nie podejrzewałem nawet, że może być tego aż tyle!

Tysiące, a może nawet dziesiątki i setki tysięcy ludzi żyją myślą o zbliżeniu do sił nadprzyrodzonych, o wejściu w świat nadzmysłów, o przeniknięciu tajemnic, które wydają się zupełnie nie do przeniknięcia... Trudno mi właściwie powiedzieć, co poczułem, gdy zdałem sobie sprawę z tego ogromu. Na pewno przyniósł mi odrobinę otuchy zawsze wynikającej ze świadomości, że nie jesteśmy sami na krętej, niebezpiecznej drodze. Ale też i trochę mnie przeraził: Jak znajdę w tym tłumie właściwe osoby?, czy kiedykolwiek zdołam dotrzeć do wszystkich? Ostatecznie ułożyłem sobie długą listę adresów, która równocześnie była marszrutą. Kilka dni później opuściłem Szwajcarię i rozpocząłem moją podróż dookoła świata.

Przez trzy lata przemierzałem kontynenty i oceany, tułałem się od bieguna do bieguna i od Gór Wierchojańskich do Kordylierów, włóczyłem się po najdziwniejszych zakątkach globu. Poznałem w tym czasie setki niezrównanych maniaków, cynicznych hochsztaplerów, nieuleczalnych mitomanów i pospolitych szaleńców. Trafiłem też na kilku prawdziwych uczonych i tyluż poetów. Moje przeżycia wystarczyłyby bez wątpienia na fabułę nie jednej, lecz paru przygodowych książek. Co? Chciałby je pan poznać? Ale to strasznie wydłuży moją opowieść... Może innym razem... Chociaż kilka najciekawszych, powiada pan... No, dobrze. Zacznę może od wizyty, jaką złożyłem w Świątyni Zielonogłowych... Dowiedziałem się o tej sekcie z reportażu zamieszczonego w popularnym amerykańskim miesięczniku geograficznym. Jego korespondent w Hondurasie donosił, że część plaż nad Morzem Karaibskim została wykupiona przez ludzi, którzy golą głowy i malują je zieloną farbą. Na terenach wziętych w posiadanie i natychmiast otoczonych zasiekami z drutu kolczastego założyli swoje obozowisko. Stojący na czele sekty Wielki Mistrz Kosmicznej Zieleni (tak kazał się tytułować) głosił, że doznał objawienia; miało mu ono pozwolić na poznanie ćwiczeń ciała i ducha, dzięki którym można osiągnąć zjednoczenie ze wspaniałymi istotami mieszkającymi w pozaziemskiej przestrzeni. Miesięcznik z tekstem reportażu wpadł mi w ręce całkiem przypadkowo, gdy przebywałem w pewnym buddyjskim klasztorze na północy Honsiu i skąd — zgodnie z moją jeszcze w Szwajcarii opracowaną marszrutą — odlecieć miałem na Alaskę. Po lekturze zmieniłem plany i kilka dni później wysiadłem z samolotu na rozpaloną słońcem płytę lotniska w La Ceiba. Dość szybko odnalazłem bramę obozu Zielonogłowych i nieufnie patrzącemu na mnie strażnikowi wyraziłem chęć widzenia z Mistrzem. Zniknął gdzieś i nie było go przez piętnaście minut. Gdy wrócił, kazał mi pójść za sobą. Ruszyliśmy brnąc przez gorący piasek plaży. Już nie opodał bramy spostrzegłem grupki kobiet i mężczyzn o ciałach prawie nagich, tylko na biodrach osłoniętych przepaskami z zielonego jedwabiu. Ich ogolone głowy aż po linię brwi lśniąca skorupą pokrywała zielona farba. Klęczeli lekko przysiadłszy na piętach, wykonywali rytmiczne skłony, a co kilka sekund otwartymi dłońmi uderzali o ziemię przed sobą. Ich ruchom wtórowała ni to pieśń, ni to deklamacja. Nie rozróżniłem żadnych słów, lecz jedynie proste, wciąż powtarzające się dźwięki: „Hoo-haa-yyy! Hoo-haa-yyy!”.

Przechodziliśmy obok zupełnie nie zauważeni: ćwiczący czy też modlący się najwyraźniej pogrążeni byli w transie.

Dotarłem wreszcie przed oblicze Wielkiego Mistrza. Pięćdziesięcioletni mniej więcej, tęgi mężczyzna nosił obfitą szatę z zielonego jedwabiu, takiego samego jak ten, z którego splecione były przepaski jego uczniów. Tak jak i oni klęczał przysiadłszy na piętach. Ale nie wykonywał żadnych gestów, trwał nieporuszony. Zapytał, po co przyszedłem. Odpowiedziałem, iż od dawna szukam kontaktu z pozaziemskimi siłami. Chciał jeszcze wiedzieć, czy istnieje jakiś szczególny powód, który mnie do poszukiwań skłonił. Przecząco pokręciłem głową: nie miałem zamiaru odkrywać od razu swoich kart. Wtedy nagle wzniosł oczy ku górze i półgłosem zaczął z siebie wyrzucać szybkie słowa: „Zieloni są, o tak, zieloni, jak trawa, która jest ich znakiem, w zielonej mgłę opadną na Ziemię, o tak, i otoczą tych, którzy noszą ich kolor...”

Mówił tak jeszcze długo i wydawał się bez reszty zatopiony w natchnionej improwizacji, ale ja wyczuwałem w tym jakiś fałsz, coś udanego i nieszczerzego. Wpatrzyłem się więc w niego z przemożnym pragnieniem przyłapania go na grze, z zamiarem wytropienia chociaż jednego kompromitującego szczegółu, który potwierdziłby moje niejasne podejrzenia.

I niech pan sobie wyobrazi, że mi się udało: w pewnej chwili, gdy jedno jego oko wciąż rozmazywało się za ekstatyczną mgiełką, mgiełką jakby żywcem wziętą ze spojrzenia postaci malowanych przez el Greca, drugie zaczęło zezować ku mnie — zimne, świdrujące, badawcze...

Napotkawszy mój wzrok natychmiast umknęło w podniosłość i rozmarzenie. Potem Mistrz umilkł i na kilka długich chwil zastygł z opuszczonymi powiekami, chociaż mnie wciąż wydawało się, że jedna z nich jest leciuteńko uniesiona. Na koniec powiedział, że nocą musi poradzić się w mojej sprawie Wielkich Zielonych Mędrców i że o przyjęciu mnie do wspólnoty zadecyduje następnego dnia.

Aż do późnego wieczora, przez nikogo nie pilnowany, włóczyłem się po obozowisku. Zielonogłowi nieprzerwanie odprawiali swoje rytuały i rozumiałem, że wypełniają im one prawie cały czas. Ci, którzy akurat wyłączeni byli z obrzędów, drzemali na siedząco albo spacerowali wolno z oczyma wbitymi w dal, nieobecni, i obojętni na sygnały płynące z bezpośredniego otoczenia (biorąc pod uwagę to wszystko, czego dowiedziałem się znacznie później, sądzę, że wraz z pokarmem podawano im jakieś środki odurzające). Ocenilem, że w sumie zgromadziło się tam kilkaset osób — w większości bardzo młodych, prawie dzieci, ale spostrzegłem również, zwłaszcza wśród kobiet, trochę dojrzałych twarzy.

Noc spędziłem na brzegu zbiorowego legowiska w namiocie, które wskazał mi jeden z członków przybocznej gwardii Mistrza, a zarazem straży. Wszyscy, którzy wchodzili w jej skład, tylko zewnętrznie przypominali pozostałych Zielonogłowych: ich oczy patrzyły czujnie, a sprężyste ruchy sygnalizowały zręczność i siłę. Ale znaczenie tego faktu także pojąłem później.

Rankiem powiedziano mi, że Mistrz wstępnie zaakceptował moją osobę: obrzęd inicjacji miał się odbyć w południe. Już na godzinę wcześniej ogolono mi głowę i powleczono mój pozbawiony owłosienia skalp gęstą, zieloną farbą. Musiałem też rozebrać się do naga i zawinąć wokół bioder przepaskę z zielonego jedwabiu. Punktualnie o dwunastej wszedłem do wnętrza wielkiego kręgu, który utworzyli klęczący na piachu członkowie sekty. Opuściłem się na ziemię po jednej jego stronie — naprzeciwko zajął miejsce Mistrz. Kilka chwil mamrotał coś półgłosem, a później wydał donośny, znany mi już okrzyk: „Hoo-haa-yyy!” Zebrani podchwycili go natychmiast i powtórzyli kilka razy równocześnie wprawiając w rytmiczny ruch swoje dłoń: błyskawicznie poczęli pograżać się w trans. Sam Mistrz wtórował im tylko lekkim kołysaniem korpulentnego tułowia, ale mnie gestem nakazał pełne przyłączenie się do rytuału.

Nie wiem właściwie, dlaczego nie udało mi się dopasować do rytmu i nastroju niepodzielnie panujących wokół: raz po raz moje „yyy!” rozlegało się ciut—ciut za późno, gdy zdążyła już zapaść



całkowita cisza, raz po raz moje dłonie klepały jeszcze piasek, gdy wszystkie pozostałe zaczynały już wznosić się ku górze. Ale to ta moja niezdarność nieoczekiwanie zaważyła na przebiegu uroczystości, odsłoniła mi nagle naszą prawdę o Mistrzu, domknęła pierwsze ogniwo całego łańcucha dalszych zdarzeń. Bo gdy po kolejnym, nieznacznie spóźnionym pokłonie prostowałem plecy, napotkałem spojrzenie dwojga śledzących mnie z przeciwka oczu. I nie dostrzegłem w nich w owej chwili ani odrobiny — udawanego choćby — uniesienia. Biły z nich za to strumienie chytrej czujności, przebiegłego skupienia i niemożliwej do ukrycia irytacji. Przypomniało mi się natychmiast ukradkowe łypnięcie jednym okiem, które przechwyciłem poprzedniego dnia; niemalże jednocześnie nabrałem przekonania, że Mistrz jest komediantem i oszustem. Podejrzenia, które musiały zakiełkować we mnie chyba tuż po przekroczeniu bramy obozowiska — okrzepliły w niezachwianą pewność. Nie, ten spowity w zieleń tłuścioch nie mógł nawiązać żadnego pozaziemskiego kontaktu i na pewno nikt z innego świata nie objawiał mu magicznych formuł i gestów. Drań wszystko wymyślił sam i opętał setki niezrównoważonych dzieciaków...

Od momentu, w którym ostatecznie uznałem, że pozwoliłem się wystrychnąć na dudka, a wszystko dookoła przybrało w moich oczach kształt zgoła operetkowy, nie opóźniałem już ruchów przez przypadek. Teraz robiłem to z pełną premedytacją. Stałem się jak wioślarz, który swoim nienadążaniem za sąsiadami wybija z rytmu całą obsadę łodzi, albo jak piechur kotłujący marsz kolumny uporczywym myleniem nogi. Promieniujący ze mnie opór wdzierał się w atmosferę obrzędu, rozrywał delikatną tkankę emocjonalnego zjednoczenia, wytrącał z pulsowania kręgu coraz liczniejszych jego uczestników: nieruchomieli dezorientowani i bezzadnie mrugali powiekami niczym przebudzone za dnia sowy...

Mistrz połapał się szybko w mojej grze i jego oczy zapłonęły wściekłością. Wparł je we mnie na długie sekundy, ale rychło spostrzegł, że nie myślę ustąpić. Wtedy spróbował odzyskać niepodzielne panowanie nad nastrojem tłumu stosując inny chwyt: mocniej zaznaczył swój udział w kolejnym okrzyku, szerzej zakotłosał ciałem, po kapelmistrzowsku zaczął podkreślać rytm wymachując rękami o dłoniach zaciśniętych w pięści... Lecz ja także natężyłem głos i nadałem moim gestom większą zamaszystość. Doszło między nami do prawdziwego pojedynku: on zdążył ku scaleniu kręgu, a ja ku rozbiciu; on pragnął wzmóc presję zbiorowego wzruszenia, a ja chciałem wszystkich zupełnie spod niej wyzwolić; on się zawziął i ja się zawziąłem... Po nie nazbyt długim czasie zwycięstwo w oczywisty sposób okazało się moim udziałem: czar zbiorowego transu bezpowrotnie prysnął.

Kłęczący wokół nas pozrywali łączące ich jeszcze przed chwilą niewidzialne nici, zgubili wspólne tętno, ugrzęźli w chaosie i dezorientacji...

Słowem — rozsypało się wszystko! Mistrz, gdy tylko zdał sobie z tego sprawę, z zaskakującą lekkością porwał się na równe nogi. Sapnąwszy wyrzucił z siebie kilka urywanych zdań: „Zły dzień... Zabrakło nam łaski... Nocą poproszę jeszcze raz... Jutro spróbujemy znowu...” Odwrócił się i odszedł pociągając za sobą przybocznych. Pozostali także wkrótce się rozproszyli.

Bardzo byłem ciekaw, co Mistrz wymyśli do następnego dnia, co zechce zrobić, by podporządkować mnie swojej woli. Sądziłem, że nasza walka przeciągnie się; starałem się przewidzieć charakter kolejnych starć; wyobrażałem sobie zwycięstwo... Zdemaskowanie przywódcy Zielonogłowych wydawało mi się tyleż słuszne, co realne.

Pomyliłem się! Przypuszczając, że nie dokończony obrzęd naprawdę będzie miał ciąg dalszy, dałem dowody dziecięcej wprost naiwności! Bo w rzeczywistości wszystko rozstrzygnęło się już najbliższej nocy. Ledwie zdążyłem zapaść w sen, gdy wyrwał mnie z niego równoczesny chwyt kilku silnych rąk. Zaskoczenie sparaliżowało moje ruchy, knebel w zarodku zdławił krzyk... Jak worek powleczono mnie przez mrok. Rozpoznałem moich prześladowców dopiero przy oświetlonej

reflektorami bramie obozowiska: to byli ludzie z gwardii Mistrza. Wymierzili mi kilka mocnych uderzeń, a później potężny kopniak i szturchaniec w kark wypchnęły mnie poza ogrodzenie. W ślad za mną pofrunęły moje rzeczy. Ktoś wrzasnął: „Won! Nie waż się wracać!” Rozległ się jeszcze gwizd, parę wypowiedzianych ściszym głosem, niezrozumiałych słów i gromadny wybuch śmiechu...

Zostałem sam. Wyplułem kłęb szmat, którymi zapchano mi usta, zlizalem krew z porozbijanych warg, odetchnąłem głębiej... Rozważyłem położenie, w jakim się znalazłem, i opanowała mnie wesołość podszyta gniewem na samego siebie; półnagi, z głową ogoloną i powleczoną zieloną farbą, klęczący na drodze wśród rozrzuconych rzeczy — oto jak się prezentowałem! Co najmniej zabawnie! A na dodatek winę za wszystko mogłem złożyć jedynie na karb własnej głupoty...

Potem spoważniałem: pomyślałem o tych, którzy pozostali we władzy Mistrza, w niewoli, którą sami wybrali. Jeśli każdy przejaw buntu karano wydalaniem z sekty — oni musieli być zawsze i zupełnie ulegli. Czy nikt nie wpadł na to, co ja? Nie wytropił mistyfikacji? Nie zachwiał się w swojej wierze w moc Mistrza? Odpowiedź nasuwała się jedna: dawali się oszukiwać, bo chcieli, by ich oszukiwano.

Mając do wyboru życie wśród szaleństw „normalnego” świata i znieczulające iluzje — świadomie pozostawali przy tym drugim rozwiązaniu. Biedacy! Nie mogłem im na razie pomóc...

Jeszcze w wiele, wiele miesięcy po przeżyciach w obozowisku Zielonogłowych wspomnienia wywoływały we mnie poczucie jakiejś wewnętrznej dziury i budziły gorzki niepokój... Ślady tego przetrwały nawet znacznie późniejszą wiadomość o rozpadzie sekty i aresztowaniu Mistrza Kosmicznej Zieleni, przeciwko któremu policja wytoczyła zarzut powiązań z międzynarodowym gangiem handlarzy narkotyków...

Nie chcę, by powziął pan podejrzenie, że wszystkie przeżycia, jakie spotkały mnie w czasie moich wędrówek, okazały się równie odstręczające i... powiedzmy: chybione...

Na szczęście nie zabrakło również momentów, które dodały mi otuchy, podtrzymały mnie w dążeniu obraną drogą i jednocześnie rzuciły na nią nieco światła. W pewnym sensie przełomowa była dla mnie wizyta w kalifornijskiej miejscowości Liano Bajo... Ach!, więc zna pan tę nazwę?! Tak!, tak!, tak! — zgadza się! Właśnie tam ma swoją siedzibę Instytut Badań Niepoznawalnego, tam trafiają najbardziej zagadkowe z materiałów zgromadzonych przez astronautów NASA, tam działa profesor Shepard... Słyszał pan coś o nim? Wspaniały człowiek! — najpierw sam latał w pozaziemską przestrzeń, trzykrotnie lądował na Księżycu, później kierował szkoleniem korpusu astronautów, a wreszcie stworzył Instytut. Podobno do tej ostatniej pracy skłoniły go jakieś osobiste, głęboko skrywane powody... Ale to mogą być plotki...

Gdy tylko posłyszałem pierwszy raz o Liano Bajo i o Shepardzie, natychmiast poczułem, że to coś dla mnie.

Pojechałem do Kalifornii gnany nadzieją i jednocześnie powściągany nieco przez onieśmienie. Taki przekładaniec wzruszeń nie przeszedł mi również po przybyciu na miejsce: całymi dniami krążyłem wokół pawilonów Instytutu, ale nie mogłem się zdecydować na przekroczenie jego progów.

Po prostu nie potrafiłem chyba wyobrazić sobie pierwszych chwil po tamtej stronie, paraliżował mnie dziecienny nieco respekt, jaki przed uczonymi mają niektórzy ludzie sztuki (inni co prawda uważają się za coś nieskończenie wyższego, ale ja stanowczo należałem do tych pierwszych), obawiałem się też, że wśród wypełnionych książkami półek albo szmerzącej aparatury jakiegoś gabinetu pogubię się z kretesem i nie zdołam dorzecznie wyłuszczyć swojej sprawy...

Wreszcie spostrzeżenia, jakie poczyniłem w czasie moich nie kończących się spacerów wokół Instytutu, nasunęły mi rozwiązanie: zorientowałem się, że w pewne dni profesor Shepard nie udaje się na lunch do domu, lecz spożywa go w małym, samoobsługowym barze nie opodal miejsca pracy.

Uznałem, że to dobry punkt i właściwy moment. Zacząłem zaczając się około południa na początku długiego kontuaru, przy sterze tac.

I poszcęściło mi się już za trzecim razem: szef IBN zjawił się tuż po dwunastej. Wziął talerz ze stekiem i frytkami oraz butelkę piwa, a potem skierował się ku wolnemu stolikowi. Nie wahając się dłużej sięgnąłem po identyczną porcję i poszedłem za nim. Spytałem, czy mogę się przysiąść. Nie patrząc na mnie przyzwalająco skinął głową. Przez chwilę dziobałem widelcem moje frytki. Nagle przełamałem się i jednym tchem wyrzuciłem z siebie długo obmyślane zdania — powiedziałem Shepardowi, że wiem, kim jest, że pozwoliłem sobie zaczepić go tutaj, bo zbyt peszyłaby mnie atmosfera oficjalnego spotkania w Instytucie, że mam do przekazania coś naprawdę ważnego.

Tym razem podniósł oczy i obdarzył mnie uważnym spojrzeniem; nie wyglądał na zaskoczonego. Mruknął: „Więc niech pan mówi”. Jadł dalej, a ja opowiadałem mu o tym wszystkim, co mi się przydarzyło; zupełnie tak, jak dzisiaj panu. Nie przerywał mi wcale.

Dopiero kiedy doszedłem do cudownego wyhamowania samochodu nad samym brzegiem przepaści, wyrwał mu się — ograniczony zresztą do jednego, słowa — komentarz: „Psychokineza...”. Skończyłem wreszcie i jakiś czas milczeliśmy obaj. Byłem przekonany, że Shepard nie bierze mnie za szaleńca. Czułem, że mi uwierzył, a jeśli nawet jeszcze się zastanawia, to tylko nad tym, czy odrobinę nie przesadziłem, czy troszeczkę nie koloryzowałem...

Postanowiłem ostatecznie go przekonać. Domyśla się pan, co zrobiłem? Jednym haustem wypilem piwo z mojej szklanki, potem przez moment zatrzymałem ją na wysokości ust, a na koniec rozwarłem palce i cofnąłem dłoń. Tak, tak — ta sama sztuczka, przy pomocy której próbowałem zabawić dziś pana; wtedy dokonałem jej po raz pierwszy. Natychmiast zauważyłem, że zrobiła na Shepardzie ogromne wrażenie: przenosił wzrok z wiszącego w powietrzu naczynia na moją twarz i z powrotem, marszczył brwi, zaciskał wargi wstrzymując jakieś słowa.

Gdy pozwoliłem szklance wolno spłynąć w dół i jej dno delikatnie stuknęło o blat stolika — profesor nie zdołał powściągać się dłużej. Wybuchnął entuzjastycznymi gratulacjami i gorączkowymi pytaniami, pośpiesznym streszczeniem jednej ze swoich teorii, nasuwającymi mu się na bieżąco refleksjami i propozycjami na przyszłość dla mnie... Mówił, że od dawna wierzy w zdolność człowieka do wpływania za pomocą umysłu na materię, że energia umysłu — nazywał ją „energią mentalną” — może okazać się najbardziej pierwotną formą energii, że cały Wszechświat jest wypełniony potężną inteligencją, a ja najwidoczniej należę do tych nielicznych, którzy bezpośrednio się w nią włączyli...

Mówił też, że nawet przez chwilę nie wątpił w prawdziwość mojej opowieści, pytał, co czuję w czasie zdalnego poruszania przedmiotami, błagał, bym zaraz udał się z nim do laboratorium i powtórzył eksperyment ze szklanką w obecności jego współpracowników i przy uruchomionej aparaturze pomiarowej... Dlaczego w tym momencie zacząłem się wzbraniać? Dlaczego właściwie wymówiłem się od tej wizyty? Może wciąż nie rozwiały się we mnie dawne uprzedzenia? Może nie odpowiadała mi rola doświadczalnego królika? A może też, mimo prawdziwego podziwu, jakim darzyłem Sheparda, nie wierzyłem w gruncie rzeczy w skuteczność jego metod? Coś mi już chyba podpowiadało, że to nie nauka będzie źródłem, z którego wyłowię poszukiwane odpowiedzi... Więc ostatecznie zasłoniłem się zmęczeniem i ważnymi sprawami, które miałem załatwić rzekomo jeszcze tego samego popołudnia; obiecałem zjawić się w Instytucie Badań Niepoznawalnego następnego dnia rano. Profesor Shepard nie krył swego zawodu, ale przystał na tę propozycję. Przy pożegnaniu długo ścisnął moją dłoń. W kółko powtarzał: „No, to do jutra! Do jutra! Więc do jutra!”

A tymczasem ja odleciałem z Liano Bajo najbliższym samolotem... I dopiero po paru dniach wysłałem list z przeprosinami... Starąłem się przekonać w nim Sheparda, że bardzo mi pomógł

(naprawdę tak było! — dzięki rozmowie z nim czułem się dużo pewniej). Dawałem też wyraz mojej wierze w powodzenie prowadzonych przez niego badań. Pisałem wreszcie i o tym, że kiedyś nasze drogi być może przetną się znowu, ale na razie lepiej będzie, jeśli spróbuję radzić sobie sam... Cóż... to już właściwie kres kalifornijskich zdarzeń... Pozostał jeszcze tylko drobiazg, epilog, który życie dopisało w kilka miesięcy później. Przybrał on kształt jakby kopii spotkania z Shepardem, swoistej repetycji tamtego doświadczenia, czegoś w rodzaju potwierdzenia wniosków płynących z niego dla mnie. Otóż na Europejskim Kongresie Parapsychologicznym poznałem profesora Aleksandra Ardalionowicza Iwołgina — szefa jednej z moskiewskich placówek badawczych. W mojej z nim rozmowie nieledwie słowo w słowo powtórzyły się myśli i zdania z tamtej poprzedniej, przeprowadzonej w małym, samoobsługowym barze... Padły te same uwagi i przypuszczenia. Identycznie też zareagował Iwołgin na sztuczkę ze szklanką... Jeszcze raz umocniłem się w przekonaniu, że nie jestem szaleńcem, lecz wybrańcem spełniającym nadzwyczajną misję. A potem jeszcze raz umknąłem...

I co? Wciąż pan ciekaw moich przygód? Naprawdę?! Niech tam! Odmaluję dla pana jeszcze jeden epizod. Zresztą akurat ten z czasem okazał się najbliższy sedna tajemnicy, którą postanowiłem przeniknąć. Sam w sobie był zagadką, lecz równocześnie kolejnym, ważnym znakiem przy mojej drodze, sygnałem przekazanym mi przez nieświadomego rzeczy posłańca. Kiedyś wspomnienie o tym wydarzeniu miało też spełnić rolę jednego z kamyczków mozaiki, jaką w końcu udało mi się ułożyć... Ale przejdźmy teraz do samego biegu wypadków. Wszystko rozegrało się w Londynie, na skraju jednego z rozległych trawników Hyde Parku. Ilomaz barwami już od lat mieni się w tym miejscu londyński tłum! Między czarne meloniki i parasole wtargnęły kaptury, fezy i turbany, wśród tradycyjnych tużurków płyną białe arabskie burnusy, jedwabne hinduskie sari i spinane na ramieniu afrykańskie haiki. A twarze?!

Spoza gładko wygolonych, rumianych policzków migają nieustannie fizjonomie śniade, z oczyma wykrojonymi w kształt migdałów, twarze, których hebanowy odcień podkreśla biel łyskająca spod powiek, oblicza żółte i kryjące źrenice brązowoczarne... Rozsypane imperium ściągnęło ku swemu centrum byłych poddanych z wielu krajów i kontynentów, ludzi najróżniejszych ras i kultur; z dawnych kolonii egzotyka przywędrowała na ulice dawnej metropolii.

Przypominam panu o tym, bo baśniowa kolorowość londyńskich przechodniów to zarówno tło, jak i przyczyna wydarzenia, o którym opowiem. Właśnie w okolicach Hyde Parku, w jego najśłynniejszym kącie wyznaczonym przez trójliniowy zbieg Park Lane, Cumberland Gate i The Ring, a nazywanym Speakers Comer owa mieszanina typów urody, języków oraz strojów osiąga szczególną intensywność. Mównice ze skrzynek po piwie wabią wspaniale cudacznych oratorów, mocą przedziwnych fluidów dobierają się ich pstre audytoria, uzupełnia atmosferę ruchliwa obecność niezliczonych turystów. Ale mężczyzna, który przyciągnął moją uwagę, nie był ani samozwańczym trybunem, ani skupionym słuchaczem, ani turystą. Na dobrą sprawę nie wyróżniał się też niczym szczególnym: z karnacji i postury wyglądał na rodowitego Europejczyka, nosił najzwyczajniejsze dzinsy i trykotową koszulkę, nie wykrzykiwał o rychłym końcu świata czy o sporządzeniu recepty na powszechną szczęśliwość. Siedział przy brzegu trawnika na własnym, składanym foteliku. Skrzyżował przed sobą stopy wygodnie wyciągniętych nóg, a złożone i kryjące coś między sobą dłonie oparł na piersiach. Półkolem przykucnęła naprzeciw niego barwna grupka: dwóch Murzynów, prześliczna Azjatka, para o lnianych włosach mieszkańców Szwecji lub Norwegii, starszy mężczyzna w spodniach w jaskrawą kratę, za jakimi przepadają Amerykanie. Toczyła się rozmowa, w której prym wodził ten siedzący na foteliku: skupiony, wsłuchany w siebie z przymkniętymi powiekami monologował niedonośnie, zaś pozostali przerywali mu tylko od czasu do czasu jakimiś uwagami czy

też pytaniami. Słowa głównego mówcy przyjmowano nie w zwykły, lecz szczególny sposób. Na twarzach wszystkich słuchających malowała się podczas jego wypowiedzi natężona uwaga, zaciekawienie graniczące z fascynacją, a może również, sygnalizujące pewien opór — niedowierzanie. Chyba to nawet owe pełne wyrazu twarze wpadły mi w oczy wcześniej niż ten, który był źródłem odbitego na nich natchnienia. Postanowiłem podejść bliżej.

Akurat, gdy postawiłem pierwsze kroki w tamtą stronę, siedzący na foteliku przestał mówić, otworzył oczy, oderwał od piersi złożone dłonie, rozchylił je i wyciągnął ku mężczyźnie, który wydawał mi się Amerykaninem. Ten sięgnął ku nim prawą ręką i pochwycił jakiś drobny, leżący jak na tacy przedmiot. Z kolei na zwolnione miejsce szybko rzucił coś małego jeden z Murzynów. Dłonie zamknęły się i powróciły do dawnego położenia; ich właściciel znowu przymknął oczy i zagłębił się w sobie. Po chwili przemówił.

Znalazłszy się w zasięgu jego głosu posłyszałem plastyczny opis afrykańskiego krajobrazu, pięknymi, starannie dobranymi słowami nakreślony obraz wioski w buszu, wnikliwie szkice do portretów żyjących tam, nie znanych mi ludzi i subtelne wizerunki domowych zwierząt.

Przykucnąłem obok innych, na brzegu półkola. Po paru chwilach pojałem, na czym polega odbywające się tutaj misterium: mężczyzna, którego z bliska i nieco z ukosa mogłem teraz obserwować, brał od obecnych drobiazgi pochodzące z ich rodzinnych stron. Ukrywszy je między złożonymi dłońmi i zbliżywszy do piersi, w sobie tylko wiadomy sposób dostrzegał poprzez te okruchy pełne kształty ich naturalnego otoczenia: pejzaże z innych lądów, dalekie miasta i domy, najróżniejszych ludzi i najdziwniejsze czworonogi. Odmalowywał to wszystko językiem rzadkiej urody i giętkości, chociaż może odrobinę staroświeckim.

Skończywszy przekaz wizji bez słowa zwracał przedmiot i z otwartymi dłońmi oczekiwał następnego. Z początku podejrzewałem, że cała zabawa polega na mistyfikacji. Sądziłem, iż opowiadacz jest zamiłowanym włóczęgą, globtroterem, który poznał wszystkie zakątki Ziemi, a równocześnie wykształcił w sobie zdolność wyostrzonej obserwacji. Wydawało mi się, że patrząc uważnie odgaduje z jakichś — nieuchwytnych dla mniej wprawnego oka — szczegółów narodową przynależność i zwykłe miejsce zamieszkania tych, którzy zatrzymywali się przed nim. Potem wystarczyło mu sięgnąć do wspomnień, by sugestywnie stwarzać wrażenie posługiwania się szóstym zmysłem, tajemną siłą, magicznym nadwzrokiem...

A jednak było inaczej! Dowiodło mi tego przesycenie jego wizji najdrobniejszymi, często drugoplanowymi i z nieprawdopodobnym pietyzmem oddanymi detalami.

Tym bardziej że wiele z nich w bezpośredni i bardzo osobisty sposób dotyczyło samych poddających się eksperymentowi. I zawsze wśród identycznych okrzyków zdumienia było przez nich potwierdzone. Jego wzrok musiał naprawdę przełamywać barierę przestrzeni!

Swobodnie przepłynąwszy nad powierzchnią planety padał dokładnie na to, ku czemu prowadził złapany w dłonie ślad... Pyta pan, czy bardzo byłem zdziwiony? Oczywiście, że tak! Tylko niechże pan nie zapomina, przyjacielu, że dziwić się można dwojako: wrogo — po to, by istoty niezwykłego nie dopuścić do świadomości, i przychylnie — po to, by cieszyć się zetknięciem z nowym i nieznanym.

Wśród źródeł wielkich tragedii naszych czasów jest i to, które stanowi duchowa hermetyczność większości współczesnych, ich niechęć do porzucenia ciężkich ram gotowych schematów, po prostu — dziwienie się na pierwszy sposób. Ja zaś — na pewno pan w to nie wątpi — dziwiłem się na sposób drugi. I dlatego też, gdy tylko nadarzyła się okazja, wykonałem gest włączający mnie do gry...

Pamięta pan kulkę, którą znalazłem nad brzegiem przepaści, tę, na której pierwszy raz wypróbowałem mój nowy dar? Tak, nie wyrzuciłem jej wtedy, a później zawsze już miałem przy

sobie. Spoczywała na dnie kieszeni moich kolejnych ubrań i polubiłem machinalnie sięgać po nią w chwilach zdenerwowania, zaintrygowania czy zadumy; gładka powierzchnia pod opuszkami palców pomagała mi uspokoić się, skupić, odprężyć...

Przykucając na brzegu półkola przed opowiadaczem też bawiłem się moim talizmanem: kciukiem przetaczałem go z palca na palec, zatrzymywałem między knykciami, chwilami aż do lekkiego bólu wciskałem w skórę. Gest, o którym przed sekundą wspomniałem, zrobiłem nagle, popchnięty impulsem znacznie szybszym niż taki, jakim zaowocowałyby najkrótsza nawet świadoma refleksja.

Mieszkanka Bangkoku, lokatorka dżonki zakotwiczonej na Menamie — dowiedziałem się wiele o prześlicznej dziewczynie słuchając opisu nawodnej osady — odebrała właśnie swoją szylkretową spinkę do włosów. Otwarte, puste teraz dłonie czekały. Skandynawska para naradzała się szeptem, drugi z Murzynów najwyraźniej nie zamierzał powtarzać próby, której poddał się już jego ziomek, grubas w krótkich spodenkach ze skóry i kapelusiku z piórkiem dołączył do półkola jeszcze później niż ja i nie zdążył się połapać, o co chodzi w zabawie...

Nadszedł moment dla mnie! Nim minął czas potrzebny, by to sobie uświadomić (powtarzam panu, że impuls miał pęd błyskawicy), wyciągnąłem przed siebie rękę, w której trzymałem kulkę, i pozwoliłem jej stoczyć się w oczekujące dłonie. Przyjęły ją i natychmiast zamknęły się niczym małż. Później mężczyzna wykonał wszystkie gesty wchodzące w skład znanego mi już rytuału: odchylił się lekko do tyłu, oparł złożone dłonie na piersiach i przymknął oczy. Zastygł w bezruchu, a jego twarz wyrażała zwykłą w tej sytuacji wewnętrzną koncentrację. Już po chwili zaszło jednak coś niezwykłego. W jego rysy wkradło się, przedtem ani razu nie okazywane, napięcie: usta zacisnęły się, a czoło zmarszczyło ściągając brwi w jedną krechę. Na koniec podniosły się powieki i prześliznęło się po mnie spojrzenie zaciekawione, pytające, a może też niosące delikatny wyrzut.

Zaraz potem opowiadacz spróbował skupić się na nowo, ale przyszło mu ponieść następną porażkę. W wysiłkach, by pokonać nieprzebytą przepaść między pragnieniem a niemożnością, przywiódł się na granicę cierpienia, coraz gwałtowniej wykrzywił się bolesnymi grymasami. Wreszcie z rezygnacją pokręcił głową. Wolno, jakby z pewnym ociąganiem, podsunął mi moją kulkę i powiedział, że nie potrafi dla mnie nic zrobić. Dodał jeszcze kilka zdań, które brzmiały mniej więcej tak: „Nie myśl, że nie znalazłem obrazu. On przypląnął! I był piękny... Ale przekazać go nie potrafię! Próbowałem, naprawdę próbowałem... Nie potrafię. Nie znam właściwych słów. Te kształty i te barwy... jeśli to w ogóle kształty i barwy... Widziałem je w ogromnym oddaleniu. I jakby przez gęstą mgłę — zamazane, nieostre... Czuję obecność piękna, ale niczego nie zdołałem uchwycić. Jakie to dziwne...”.

Zatopił się w myślach i nie dostrzegł już nikogo. Półkole rozproszyło się z wolna; na odchodnym wszyscy obrzucali pożegnalnym spojrzeniem nie tylko jego, lecz chociaż przez chwilę zatrzymywali też badawczy wzrok na mnie... A na koniec, niczego więcej się nie doczekawszy, odszedłem i ja. W zaciśniętej dłoni niosłem moją kulkę. Dzięki niej raz jeszcze uzyskałem potwierdzenie obcowania z prawdziwą tajemnicą. I raz jeszcze ani na jotę nie zdołałem w tę tajemnicę wnikać...

Słucham? Uważa pan, że jednak coś niecoś już wiedziałem?

No tak, oczywiście — nie miałem wątpliwości co do pozaziemskiego pochodzenia mocy, w których zasięgu się znalazłem. Londyńska przygoda musiała mnie w tym przekonaniu utwierdzić. Ale niechże pan się zastanowi: czy rzeczywiście można to uważać za zbliżenie się do jądra zagadki? Czy nie należy raczej dostrzegać w tym nieprzełomnej pieczęci sekretu, surowego piętna nakazującego porzucić wszelką nadzieję na uzyskanie prawdziwego wyjaśnienia? Nic, zupełnie nic nie wiemy przecież o pozaziemskich mocach... Potrafi pan zgadnąć, do czego zwykłem z czasem przyrównywać trzyletni okres mojej włóczędzy? Do dziecięcej zabawy w „ciepło, zimno”. Igrający ze mną nieznany i

niewidoczny ktoś wypchnął mnie najpierw w nie kończącą się błakaninę, a później pozwalał, by prawie przy każdym przeżyciu odzywał się w moich myślach zniechęcający sygnał chybienia: zimno!, zimno!, zimno! Jedynie z rzadka — jak przy spotkaniach z Shepardem i Iwołginem — pokrzepiał mnie mignawszy końcem rozmotanej w labiryncie mi: trochę cieplej!, trochę cieplej! Raz tylko chyba, właśnie przez usta londyńskiego opowiadacza, otwarcie rzucił mi: ciepło! A prawie pełne trzy lata musiały minąć, by wreszcie zahuczał mi pod czaszką radosny alarm: gorąco! gorąco!, gorącoooo!!!

Wstrząs ów stał się moim udziałem na pokładzie greckiego stateczku podążającego z Pireusu ku północnym wybrzeżom Afryki. Pierwszego dnia, w kilka godzin po opuszczeniu portu, pod wieczór... Ale nie! Zanim opowiem panu tę historię, zadać muszę jedno pytanie: czy przytrafiło się pani kiedyś być niesionym przez strumień zdarzeń bliskich i pokrewnych? Co przez to rozumiem? Już wyjaśniam: otóż na przykład siedzi pan w domu, a gdzieś na dnie pańskiego mózgu uparcie kołaczą się fragmenty jakiejś niezbyt dokładnie zapamiętanej melodii. Ani nie może się pan od nich uwolnić, ani też umie odtworzyć je dokładniej. Nieco później, na pozór bez żadnego szczególnego powodu, wychodzi pan na ulicę. Na wystawie pobliskiego sklepu muzycznego spostrzega pan płytę i w tym samym mgnieniu uświadamia sobie, że przecież to właśnie jest nagranie, z którego pochodzi powracający, naprzykrzający się motyw.

Przypomniawszy sobie przy tej okazji personalia autora melodii, kieruje pan myśli ku przyjacielowi noszącemu to samo co kompozytor imię. A po kilkudziesięciu następnych krokach spotyka pan tego właśnie, od dawna nie widzianego, przyjaciela... Albo inna sytuacja: słuchając jednym uchem radiowej audycji dowiaduje się pan o wydanej przed wieloma laty książce. Ton, w jakim o niej mówią, rozbudza pańską ciekawość i zaszczepia chęć lektury. Wracając następnego dnia z pracy spostrzega pan na peronie metra albo na wolnym siedzeniu w autobusie porzucony tom; podnosi go pan i przekonuje się, że to właśnie ta książka, o której mówiono w radio. Zabiera pan znaleziony wolumen do domu i na razie odkłada. Nie na długo jednak. Książka nie pozwala o sobie zapomnieć: leksykon otwiera się dokładnie na stronie z portretem jej autora, na zerwanej kalendarzowej kartce zaznaczona jest rocznica jego urodzin, film akurat wyświetlany w telewizji nosi tytuł uderzająco podobny do widniejącego na jej okładce... Właśnie takie — nieraz zresztą niezwykle długie — łańcuchy następstw określam mianem strumieni zdarzeń pokrewnych... I co? Teraz może pan już odpowiedzieć na moje pytanie? Tak też i myślałem! To naprawdę świetnie, że zna pan podobne zjawiska z własnych doświadczeń! Pojmie mnie pan w lot i obejdziemy się bez nudnych powtórzeń. Tak więc wracając do przeprawy przez Morze Śródziemne... O! przepraszam! Pan chciał coś powiedzieć... Co takiego? Ach, pan nie dostrzega w łańcuchach zdarzeń niczego nadzwyczajnego. Oczywiście, oczywiście — niemało da się wyjaśnić; koncentracja myśli wokół jednego zagadnienia, uruchomienie motorów ;i podświadomości, napięcie uwagi pozwalające widzieć rzeczy, które normalnie na pewno by nam umknęły...

Wszystko to prawda, mój drogi racjonalisto! Przekona się pan jednak, że wobec ciągu zahaczających o siebie przypadków, jaki porwał mnie sześćdziesiąt mil morskich na południowy zachód od Pireusu, wszelkie próby wyłącznie rozumowych wyjaśnień skazane są na niepowodzenie. Zresztą przejdźmy wreszcie do samej opowieści! Niechże pan słucha!

Właściwie dobrze będzie, jeśli cofnę się jeszcze bardziej, jeszcze przed te chwile pośród wodnej pustyni, o których dwukrotnie zaczynałem już mówić. Bo od razu w Pireusie, w momencie kiedy wspinałem się po trapie na pokład stateczku, zaszło coś, co zwiastowało nadciągające przesilenie. W moje uszy wślizgnął się kobiecy, zmysłowy szept. Właściwie tylko jedno szeptem wypowiedziane słowo: „mandala”. Rozejrzałem się: za mną — w dole, na nabrzeżu — stały grupki ludzi, przede mną — w górze, przy burtach — też kotłował się tłumek. Ale obok mnie, w mojej bezpośredniej

bliskości, nie było nikogo.

Pomyślałem wtedy, że się przestyszałem; że nieco oddalony zgiełk, szum wiatru, chlupotanie wody i skrzywienie trapu zmieszały się ze sobą tworząc złudzenie artykułowanej mowy. Mruknąłem pod nosem: „Głupstwo, wydawało mi się”. Zacząłem piąć się dalej. Ale tajemnicze słowo nie chciało mnie opuścić; zdążyło już mocno utkwić w mojej świadomości. Mandala... To nie brzmiało mi całkiem obco, to musiało kryć jakiś sens. Jaki? Tymczasem nie potrafiłem sobie przypomnieć...

Zwolniono cumy i wypłynęliśmy z portu. Stojąc oparty o reling na rufie patrzyłem na pieniającą się nad śrubami wodę i uporczywie próbowałem wydrzeć słowu jego znaczenie. Wyławiałem poszczególne sylaby, burzyłem ich porządek i układałem nowy, odwracałem kolejność głosek: dalaman, ladaman, maniada, namdala, namdaal, namadal, aladnam... Nic z tego nie wychodziło. Moja pamięć wciąż nie podsuwała żadnego odzewu. I dopiero w kilka godzin po odbiciu od portowego nabrzeża, pod wieczór, czas zgęstniał od szybko następujących po sobie epizodów, łańcuch zdarzeń rozwinął się w pełni.

Szedłem korytarzem śródokręcia, gdy nagle zatrzymał mnie pojedynczy, stłumiony stuk. Spojrzałem pod nogi, bo odniosłem wrażenie, że dźwięk dobiegł z dołu. Nie myliłem się — po kokosowym chodniku, jakim wysłano korytarz, wolno toczyła się lśniąca kulka. Na ten widok natychmiast, niemalże automatycznie, sięgnąłem do kieszeni bluzy: była pusta. Czubkami palców namacałem po chwili sporą dziurę. Pojąłem, że mój amulet musiał wypaść przez nią.

Podniosłem go szczerze uradowany tym, że nie zawieruszył, się bezpowrotnie. Gdy ścisnąłem już w dłoni znajomy kształt i prostowałem plecy, spostrzegłem, że stoję obok uchylonych drzwi. Umocowana na nich mosiężna tabliczka: w dwóch językach — po grecku i po francusku — głosiła, że prowadzą do biblioteki. Zaciekawiony pchnąłem je i przekroczyłem próg. Niezbyt duże pomieszczenie tonęło w kurzu i mroku, przez które słabymi strużkami sączył się spod sufitu blask nagiej, zażółconej żarówki. Na stalowych półkach pod ścianami i na takimże, stojącym pośrodku stole piętrzyły się stosy książek. Przeważały wśród nich zbiory nowelek science-fiction, kryminały i półpornograficzne powieści — wydane kiedyś tak, by wabiły wzrok barwnością i lśnieniem okładek, teraz wyszarzały, były zmechaciałe, odstręczały pozwijanymi w „ośle uszy” rogami stronic i tłustymi plamami na grzbietach. Ale zauważyłem też piramidkę tomów prezentujących się nieco dostojniej: grubszych i większych formatem, oprawnych w płótno, mniej zniszczonych.

Odłożyłem na bok Biblię i grecko-angielski słownik, które spoczywały na samym szczycie. Trzecia z kolei książka była w języku niemieckim, a jej tytuł brzmiał: „Von Dingen, die am Himmel gesehen werden”. Zna pan niemiecki? Tak sobie? Można to przetłumaczyć jako rozprawę o rzeczach, które widuje się na niebie. Napisał ją przed laty Carl Gustav Jung, jeden z uczniów Freuda. Ująłem tom, a on od razu otworzył się sam; tak jak zazwyczaj łatwo i szeroko rozwierają się te miejsca w książkach, do których najczęściej powracano podczas czytania. Moją uwagę przyciągnęło wpierszanie u samej góry stronicy po lewej. Przetłumaczyłem je sobie mniej więcej tak: „Z reguły widzi się na niebie ogniste lub rozzarzone, różnobarwnie świecące ciała, okrągłe, w kształcie krążka lub kuli...” Już to tylko powinno było wystarczyć, bym dojrzał rodzenie się związków między zdarzeniami — kula, czyli mój amulet, przywiodła mnie tutaj, kula czekała wśród rzędów druku... Ale prawdziwy wstrząs przeżyłem dopiero w chwilę później, gdy przeniosłem oczy na stronicę po prawej. Czując narastający łomot serca czytałem, że kształty widziane na niebie podlegają zasadom interpretacji snów, a kula spokrewniona jest blisko z symbolem całości — man-da-lą! Potrafi pan sobie wyobrazić, co się wtedy zaczęło dziać we mnie? Mandalą! — słowo, które usłyszałem wspinając się po trapie, słowo, którego nie mogłem rozgryźć... Właśnie to słowo wiązało się z kulą! I kulą był też tajemniczy przedmiot, który znalazłem na skraju przepaści i dzięki któremu poznałem



ofiarowaną mi moc. I kula oznaczać miała całość. A przecież tym, co dręczyło mnie najbardziej, tym, przez co zawaliło się moje dotychczasowe życie, było pęknięcie świata, jego coraz szybszy rozpad... Więc?! Skłębione myśli rozsadały mi mózg, gdy, porwawszy książkę, wyskoczyłem z powrotem na korytarz. Ale tuż za drzwiami znowu stanąłem jak wryty: dokładnie na wprost nich, na przeciwległej ścianie, spostrzegłem kolejny znak. Na pozór jego obecność w tym miejscu była czymś najzupełniej zwyczajnym. Cały statek przyozdobiono na użytek turystów hellenistycznymi akcentami — podłymi kopiami słynnych posągów, zdjęciami białych kolumnad i amfiteatrów oraz wykaligrafowanymi w kilku językach sentencjami starożytnych filozofów. Ów znak, o którym przed chwilą wspomniałem, stanowiła taka właśnie — oprawiona w złote ramki — myśl. Ale jej treść! Jej treść! Biały arkusik za szkłem wypełniały słowa Ksenofanesa z Kolofonu: „Bóg ma postać kuli; jest cały widzeniem i słyszeniem; jest cały rozumem i myślą; i jest wieczny”.

Kula!, kula! I znowu kula! Była zagadką i odpowiedzią; była źródłem moich cierpień i mojej siły; była moim przeznaczeniem. Potrzebowałem samotności; jeszcze raz, w spokoju, musiałem przebiec myślą wszystkie ukazane mi ogniwa łańcucha. Poszedłem na rufę, w to samo miejsce, z którego obserwowałem wcześniej oddalające się brzegi Grecji. Słońce skryło się już pod powierzchnię morza. Po mojej lewej ręce, na zachodzie, wygaszały ostatnie zorze. Za statkiem, na północy, ku której patrzyłem, niebo ponad bezkresem wód zaczęło się powlekać przesyconą granatem czernią.

Długo stałem w zadumie nie niepokojony przez nikogo. Pasażerowie zeszli na kolację do jadalni, oficer wachtowy i sternik nie opuszczali osłoniętej części mostku; poza mną nie było na pokładzie żywego ducha.

I dlatego też tylko ja stałem się świadkiem niezwykłego zjawiska, mnie jedynie przypadł udział w tej części czasu i przestrzeni, którą ono wypełniło. Od początku domyślałem się zresztą — a pan podzieli pewnie mój pogląd — że wyłącznie dla mnie to wszystko było przeznaczone, że właśnie tam, między niebem a morzem, ziściło się ostatnie ze zdarzeń przynależnych do niosącego mnie strumienia. Najsamprzód na środku przejściowej, rozmazanej strefy, w której resztki blasku pozostawionego przez zachodnią zorzę wsiąkały w północną czerń, pojawił się mały, mocno błyszczący punkcik. Podążając ku statkowi i jednocześnie przesuając się na wschód rósł szybko: po kilkudziesięciu sekundach miał wielkość talerza, później przemienił się w spory krąg, a wreszcie przestałem go spostrzegać jako twór płaski i mogłem wyraźnie widzieć wypukłą ścianę wirującej kuli. Gdy zawisła nad moją głową, była już ogromna. Odległa o sto czy o dwieście metrów wydawała się większa od nadbudówek za moimi plecami. Jasność bijąca od niej męczyła oczy, ale nie poczułem najmniejszego wzrostu temperatury. Moich uszu nie dobiegł też żaden nowy dźwięk.

Wewnątrz przejrzystej, gładkiej bani przelewała się nieustannie bezkształtna masa we wszystkich odcieniach czerwieni i różu: jak lava, jak gęsta galareta albo jak krzepnąca krew. Popchnięty przez przemożny impuls zapragnąłem nagle zjednoczenia z ową rozkołysaną substancją, zatopienia się w niej, rozpląnięcia... Skupiłem całą ofiarowaną mi moc, by przyciągnąć kulę ku sobie. Na próżno! — w tym samym momencie zaczęła odpływać. Jej ruch sprawiał mi fizyczny ból, ale nie umiałem go powstrzymać. Bezradnie patrzyłem, jak kurczy się kształt, jak słabnie światło, jak ginie wśród nocy ostatni ślad. I zrozumiałem, że czas jeszcze nie nadszedł

.....

Hold milknie gwałtownie i czyniąc tak, jak poprzednio w podobnych sytuacjach, zamyka się w nieprzeniknionej głębi własnych rozmyślań. Ja zaś podążam tropem obudzonych przez jego wizję skojarzeń. Słowa o samotnym wpatrywaniu się w niebo i morze przywodzą przed moje oczy obrazy z półwyspu Athos. Monaster Simopetra stojący na wysokiej, stromej skale nadbrzeżnej. I płytkie skalne nisze — właściwie, półeczki podobne do siedziska dziecięcej huśtawki — wyżłobione w ścianie

urwiska. Na nich, kilkaset metrów ponad powierzchnią wody, zwykli przesiadywać godzinami mnisi. Pograżeni w ascezie i kontemplacji, silni duchem i czysti sercem, dojrzali do przyjęcia „pocałunku Boga”.

Ale przecież nie tylko ten przepojony mistyką pejzaż wypływa z moich wspomnień. Razem z nim pojawia się niejasne uczucie niepokoju, cień jakiegoś nie rozstrzygniętego pytania i smak wątpliwości. Jestem pewien, że to echo nastroju, który osiągną} mnie jeszcze w czasie wędrówek po stokach Świętej Góry. Więc o czym ja wtedy myślałem? Z czym się nie mogłem pogodzić? Ależ tak! Wiem! — z równowagi wytrąciło mnie niewinne na pozór porównanie, zwykle zestawienie osobistego położenia mnicha sprzed stuleci z kondycją jego dzisiejszego następcy. Ten pierwszy znajdował na Athos prawdziwe schronienie przed światem: gdzieś tam, za wysokimi ścianami Bałkanów, mogły trawić ludzkość najgorsze plagi i mogły powstawać najwspanialsze wynalazki — tutaj nie docierało nic. Zwrócenie się ku niebu oznaczało pełne i skuteczne oddzielenie od wszelkich spraw ziemskich: od ambicji władców i dążeń mas, od wstrząsających milionami sporów, od powszechnych lęków i nadziei... Bieg życia uciekiniera zaczynał zależeć tylko od niego samego; stawał się wolny od jakichkolwiek zewnętrznych wpływów... Dzisiejsza ucieczka na Athos to tylko namiastka tamtej dawnej: nawet w najbardziej niedostępnej pustelni nie można się ukryć przed czujnymi oczyma kamer zainstalowanych na krążących ciągle kosmicznych sondach, nawet wpatrując się w całkiem pusty horyzont ujrzyć można biały błysk i szybko rosnącą chmurę w kształcie grzyba — zapowiedź śmierci zgotowanej przez niewidocznych bliźnich... Bo na Ziemi nie ma już miejsc, które pozwalałyby osiągnąć doskonałą niezależność. I nikt już nie zdoła oddzielić swego istnienia od losów świata. Tak, to o tym myślałem chodząc po górskich ścieżkach, stąd brał się mój niepokój... A dopiero co wysłuchana opowieść dopełnia tamte refleksje nową ideą — bez sensu jest szukać w przestworzach obietnicy własnego, indywidualnego ocalenia; tylko zapowiedź powstrzymania rozpadu całej planety dać może odrobinę niefałszywej otuchy... Ta kula, którą ujrzał Hold... Otrząsam się z zadumy i obrzucam go szybkim spojrzeniem. Spostrzegam, że najwyraźniej już na to czekał. W tej samej chwili daje mi poznać, że chce mówić o tym, co wydarzyło się później.

---

— Nie uszło pewnie pańskiej uwagi, że w moich wspomnieniach zajmuję się głównie swoją osobą i nie poświęcam zbyt wiele miejsca innym. To znaczy wszystkich, o których mówiłem — profesorów Sheparda i Iwołgina, przywódcę Zielonogłowych, londyńskiego opowiadacza — traktuję jak obojętne mi, pozostające w tyle znaki przy drodze, a nie odmalowuję żadnego związku głębszego: żadnej miłości, przyjaźni czy choćby bliższej znajomości.

Ale też istotnie brakowało ich w moim ówczesnym życiu — przez większą część okresów pokuty i wtajemniczenia tonąłem w przepaścistej samotności... Dopiero w przededniu misji spotkałem dwoje ludzi, dzięki którym pojąłem, co to prawdziwe uczucie i przywiązanie. Oni odsłoniли przede mną ostatnie, najskrytsze tajniki gry, w którą zostałem wplątany. Sami też brali w niej udział i to owa wspólnota przeznaczeń poprowadziła nas ku sobie, rozbiła zwykłe międzyludzkie bariery, zrodziła pragnienie bycia razem... Nie, nie ma ich już. Odeszli. A wraz z nimi przeminął czas, w którym byłem szczęśliwy...

Najpierw odnalazł mnie Stary. To może śmieszne, ale znałem go wyłącznie pod takim imieniem. „Mów mi Old” — powiedział, gdy spostrzegł, że nie bardzo wiem, jak się do niego zwracać. I tak już zostało. Natknęliśmy się na siebie w Nowym Jorku, na Manhattanie... Zna pan Manhattan? Ach, nawet pan o nim pisał?! Doskonale!

Czy nie uderzyła pana łatwość, z jaką w tłumie przelewającym się nieustannie przez aleje i ulice tej wysepki wypatrzeć można naprawdę interesujące twarze? Ich obfitość jest równie wielka jak

różnorodność: oblicza znamionujące życie od sukcesu do sukcesu albo jedno pasmo klęsk, olśniewająca uroda i porażająca brzydota, maski smutne i maski komiczne, młodość i starość...

I za każdym razem jakiś szczegół w rysach, który nie pozwala ich przeoczyć i łatwo zapomnieć, jakieś piętno, które każe domyślać się minionych przeżyć, odgadywać koleje życia, układać całą historię... Manhattan zdaje się w szczególny sposób przyciągać takich ludzi. Dla chętnego fizjonomisty spacer tam musi być prawdziwą przyjemnością. Old, przynajmniej z mego punktu widzenia, wszystkimi swymi zmarszczkami, grymasami ust i zmrużeniami powiek należał do grupy rozsadzającej jednolitość i szarość tłumu.

Drobny, zasuszony staruszek, o liniach nosa i brody ptasio wyostrzonych, ale nie pozbawionych szlachetności, zupełnie siwy, noszący nie strzyżone, sięgające ramion włosy, wodzący po mijających go przechodniach spojrzeniem wyblakłym nieco, ale wciąż byстрыm, mimo letniej pogody ubrany w długi, ciepły i kiedyś zapewne bardzo elegancki płaszcz, spod którego wzyierał brzeg sztywnego, białego kołnierzyka koszuli i rogi fantazyjnej muszki — takim ukazał mi się na samym wstępie znajomości. Nastąpiło to na pograniczu Lower East Side i Lower Broadway, tam gdzie wieżowce nie wyparły jeszcze wszystkich starych, trzypiętrowych kamienic o fasadach pokrytych zygzakami żelaznych schodków, gdzie pełno małych sklepików i portorykańskich barów, gdzie przechadzają się brodaci Żydzi w czarnych ubraniach i takichże kapeluszech.

Odmalowuję panu to tło, bo w jakiś sposób pasowało do Olda. Albo Old do niego. Uznałem go za emerytowanego nauczyciela muzyki lub fizyka (chyba dlatego, że bardzo mi przypominał słynny, późny portret zadumanego Einsteina). Minęliśmy się raz czy dwa jednego popołudnia, wielokrotnie przechodziliśmy obok siebie w dniach następnych. Znacznie później zdałem sobie sprawę z tego, że owa częstotliwość naszych spotkań nie mogła być przypadkowa, że — zważywszy liczbę mieszkańców i bywalców Manhattanu — przekraczała wydatnie zwykłe ramy prawdopodobieństwa. Powinna była natychmiast mnie zastanowić, ale jednak nie zastanowiła. Po tygodniu już z daleka rozpoznawałem na ulicy jego drobną sylwetkę, wreszcie zaczęliśmy się sobie kłaniać. Wkrótce potem zastąpił mi drogę, czubkami palców dotknął mego przedramienia i poprosił, by pójść za nim. Przystałem na to bez zbędnych pytań. Zaprowadził mnie do swego mieszkania; dwóch pokoików od podłogi po sufit zapchanych książkami, po których z leniwą gracją skakały dwa ogromne, spasio koty. Usiedliśmy w niemodnych, obitych skórą fotelach — właśnie wtedy zaproponował mi, by nazywać go Starym — i w gruncie rzeczy nie rozmawialiśmy o niczym ważnym. Nie pamiętam dzisiaj żadnego ze zdań, które zamieniliśmy ze sobą. Nic poza tym, że obiecałem odwiedzić go ponownie.

Rychło stałem się codziennym gościem Olda. Nasze konferencje wydłużały się, dosięgały zagadnień coraz głębszych, pączkowały setkami dygresji i wątków pobocznych. Mimo pozornego tematycznego chaosu bez wątpienia zmierzaliśmy dokądś, popołudnie za popołudniem poświęciliśmy na przebycie kolejnego odcinka drogi. Old nigdy wprost nie wyjaśnił, dlaczego mnie zaczepił i zaprosił do siebie, a przecież z każdym spotkaniem umacniałem się w przekonaniu, że ta nieoczekiwana i nieco dziwna znajomość wiąże się z moją sprawą, że gdzieś w tle czuwają nieustannie arcypotężne moce.

Żaden z nas nie próbował tej intelektualnej wędrówki przyspieszać czy też skracać. Potrafi pan sobie chyba wyobrazić, jaki to ozdrowieńczy wpływ miało na moją psychikę: po długim okresie miotania się w świecie, rozpaczliwego gonienia za każdym okruczem informacji, nerwowego wyrzucania z siebie przed najróżniejszymi ludźmi nie rozumianej, choć własnej historii i beznadziejnego wypatrywania wyjaśnień z ich strony — dane mi oto było gawędzić godzinami z mądrym, starszym panem i cieszyć się podskórną pewnością powolnego może, ale za to nieustępliwego wnikania w tajemnicę. Dzisiaj wydaje mi się nawet, że on, który od początku

wiedział więcej, wykorzystywał tę swoją przewagę, by powstrzymać mnie przed zbyt gwałtownym dotarciem do sedna rzeczy.

Pamiętam jak kiedyś, w trakcie drugiej czy trzeciej wizyty, jeszcze zanim zdążyliśmy rozważyć którąkolwiek z niezwykłości moich losów, sięgnąłem po jeden z oprawnych w pięknie tłoczoną skórę foliałów, co całą stertą zalegały w rogu pokoju. Zauważywszy w porę mój gest. Stary zerwał się jak oparzony z fotela. Prawie krzyknął: „Nie, nie! Niech pan to zostawi! Obejrzy pan kiedy indziej”.

Domyśliłby się pan, skąd taka reakcja? Bo ja natychmiast nabrałem obiecujących podejrzeń. A potwierdziły się one, gdy w końcu rzeczywiście otrzymałem pozwolenie na przeglądnięcie opasłego tomiszcza. Jego tytuł, złożony po łacinie piękną, siedemnastowieczną czcionką, brzmiał: „Rota et Sphaera”. Był to traktat o związkach między kształtem owalnym, pełnią i doskonałością.

Mój pobyt w Nowym Jorku miał trwać około dwóch tygodni. Pod wpływem spotkania i późniejszej przyjaźni z Oldem przekształcił się w blisko półroczną osiadłość.

Przez cały ten czas moje poglądy na świat, moje oczekiwania i nadzieje oraz dobre i złe wspomnienia poddawane były gruntownemu porządkowaniu i z wolna układały się w moim umyśle wyraźnymi, spokojnie następującymi po sobie warstwami. To, że dziś w miarę składnie potrafię panu odmalować bieg wydarzeń, które złożyły się na kilka ostatnich lat mego życia, po części także stanowi rezultat tamtego okresu. Do każdej mojej najdrobniejszej i najbardziej osobistej uwagi Stary dobudowywał ogromne i pasjonujące komentarze.

Właściwie wygłaszał całe wykłady. Podsuwał mi też książki, które zawsze sam wybierał z półek i stert (od zdarzenia z foliałem, o którym wspomniałem przed chwilą, wyraźnie zabronił mi szperania w swojej bibliotece). Niech pan uwierzy, że zrobiły się z tego najprawdziwsze studia.

O tematyce, która mieściła wątki właściwe dla bardzo niekiedy odległych fakultetów i wiązała wszystko w całość pokrętną a zygzakowatą, lecz wcale nie spłycała dociekań.

Pod koniec czwartego miesiąca mieliśmy już za sobą penetrację rozległych obszarów historii sztuki, kolokwia z psychologii i psychiatrii, dysputy filozoficzne, zgłębianie tajników polityki” międzynarodowej i mechanizmów dyplomacji... Dopiero wtedy nadeszło popołudnie, które zdecydowałem się przeznaczyć na opowieść o mojej próbie samobójstwa... i o jej dziwnym końcu... Zaprezentowałem też Oldowi moją władzę nad materią. Nie wyglądał na zbyt zdziwionego, ale nie krył również zaciekawienia. „Powiedz mi, Marku — wówczas nie tytułował mnie już panem i chętnie rozpoczynał pytania moim imieniem — czy to jedyny dar, jaki otrzymałeś?” Nie zrozumiałem go w pierwszej chwili, więc sformułował kwestię nieco inaczej: chciał wiedzieć, czy poza zdalnym wpływaniem na ruch przedmiotów potrafię dokonywać i innych sztuk, które zazwyczaj niedostępne są ludziom. Zaprzeczyłem, a to wywołało na jego twarzy uśmiech dyskretny, lecz i najwyraźniej radosny. Nie znałem jego przyczyn i poczułem ; się nawet trochę dotknięty: wydało mi się, że posiadana przeze mnie moc została zlekceważona. Chcąc tedy i natychmiast podbudować swój prestiż odpowiedziałem o wrażeniu, jakie moje dokonania zrobiły na profesorach Shepardzie i Iwołginie. Old skinął tylko głową i mruknął, że to dla niego oczywiste. Potem przez trzy godziny referował mi najnowsze osiągnięcia parapsychologii. A na odchodnym wręczył mi tom szkiców o nauce i mistyce Wolfganga Pauli.

Podczas paru kolejnych spotkań nie miałem okazji do ujawnienia następnych szczegółów z mojej biografii. Porównywaliśmy za to z Oldem interpretacje jedności wnętrza człowieka i rzeczy zewnętrznych dokonane przez Mistrza Eckharta i Sankarę, wgryzaliśmy się w „Animalischer Magnetismus und Magie” Artura Schopenhauera, zastanawialiśmy się nad jakością dowodów na istnienie Extra Sensory Perception... Pora na podzielenie się przekonaniem o tajemnicy drzemiącej w moim, nad przepaścią znalezionym, amulecie, na odmalowanie śródziemnomorskiej przygody i

przekazanie przeżyć związanych z ujrzeniem wielkiej kuli przyjsć mogła tylko po wyczerpaniu tych tematów... I tak też się stało. Rzec by można, że w odpowiednim momencie podniosłem tamy i pozwoliłem popłynąć całemu strumieniowi zdarzeń pokrewnych; całemu, a nie wyłącznie jego najintensywniejszej fali, która niosła mnie na statku; naprawdę całemu — od pierwszego zamknięcia w dłoni gładkiego kształtu po pragnienie wdarcia się do wnętrza bani z płynną czerwienią. Stary słuchał mnie uważniej niż kiedykolwiek i nie przerwał ani razu. Od czasu do czasu kiwał jedynie głową, jak gdyby potwierdzając moje słowa albo witając pojawienie się treści, na które czekał od dawna.

A gdy skończyłem, zgotował mi niemałą niespodziankę. Mówiłem już panu, na czym polegały nasze spotkania — ja nieustannie i może nawet trochę podświadomie parłem do opowiedzenia moich losów, a Old dawał mi szansę wyrzucenia z siebie zaledwie krótkich fragmentów wielkiego monologu; przerywał mi zaraz, komentował to, co zdążyłem powiedzieć, wciągał mnie w dyskusje; przekazywał mi ogromne zasoby własnej wiedzy, ale o sobie samym zmilczał. Po tych wszystkich miesiącach zdołałem nareszcie dobrać do kulminacyjnego momentu i odsłonić całą prawdę o sobie, a naprzeciwko mnie siedział człowiek, o którym wiedziałem równie mało, co w dniu pierwszego przekroczenia progów jego domu. Sądziłem więc, że i tym razem wszystko potoczy się zwykłym trybem. Oczekiwałem, że Stary zasłoni się znowu garścią mądrych cytatów, skłoni mnie do lektur i ponownego roztrząsania spraw przemyślanych, a na koniec dyskretnie podpowie mi wybór którejś z wielu możliwych interpretacji wydarzeń.

Tymczasem stało się zupełnie inaczej: finał mojej historii spełnił rolę znaku, na który rozpoczęła się opowieść Olda. Jego osobiste przejścia wydostały się nagle na plan pierwszy; księgi i mądre teorie przesunęły się w tło. Mój Mistrz zdejmował maskę.

Cóż — muszę teraz umieścić jedną opowieść we wnętrzu drugiej, historię Starego w samym środku mojej. Więc niech pan uważa, by się nie zgubić i nie zaplątać w wątkach. Najważniejsze było to, że Old również widział kulę. Po raz pierwszy przyleciała do niego już dawno; w latach młodości, gdy jako szeregowiec brał udział w ostatniej wojnie. Został wtedy ciężko ranny: seria z karabinu maszynowego sięgnęła prawego ramienia i płuc. Leżał na wznak w śniegu, wokół niego huczało jedno z wielkich pól bitewnych Europy. Tuż obok z łoskotem przetaczały się czołgi i wiedział, że w każdej chwili może się znaleźć pod żelaznymi gąsienicami.

I wtenczas z zasnutego dymami i zaczerwienionego ogniem pożarów nieba majestatycznie spłynęła ku niemu wielka kula, zupełnie podobna do tej, którą ja ujrzałem ponad statkiem.

„Dziwne — mówił Old — ale nawet na mgnienie nie przyszło mi do głowy, że może się zbliżyć nowe zagrożenie, że to bomba albo jeszcze inna, nie znana mi broń. Z ufnością, bez cienia wątpliwości oczekiwałem wybawienia”

Co? Czy posiadał zdolność myślowego wpływania na przedmioty? Proszę sobie wyobrazić, że w tym samym punkcie relacji zadałem mu prawie identyczne pytanie. Otóż nie, to nie było mu dane. Nie mógł przyciągać tajemniczego kształtu ku sobie, w przeciwieństwie do mnie nie czuł magnetycznego napięcia, przenikającego ciało fizycznego kontaktu. Ale jego pragnienie wnikięcia w pulsujące wnętrze — ukrycia się w nim — nie było chyba mniejsze od tego, które całe lata później ogarnęło mnie. Tam widział szansę ucieczki, oddalenia się od miejsc, które napawały go grozą, zapomnienia o wszystkim, co zostawi za sobą. Jednakże kula zatrzymała się na pewnej wysokości ponad nim i pozostawała niedostępna. A zaraz potem czekało go doznanie częściowego tylko spełnienia: poczuł, że jakaś potężna siła unosi go w górę, a dźwignąwszy w przestworza łagodnie, oszczędzając mu bólu, obraca twarzą ku ziemi. Zawisnął więc pomiędzy ziemią a niebem, w połowie drogi pomiędzy pełnymi żelastwami śmierci zaśnieżonymi polami a wyobrażającą nadzieję bryłą, której obecność za

plecami wciąż instynktownie odbierał. Utkwił nieruchomo w sferze niczyjej, nie przynależał ani do tego, ani do tamtego.

I z tego właśnie punktu obejrzał niezwykle spektakl: w pewnej chwili wszelki widoczny w dole ruch ustał i zapadła głęboka cisza. Stały czołgi, przestały ziać ogniem lufy armat, zastygły na wyrzutniach rakiety...

Następnie wydarzyło się coś jeszcze dziwniejszego: wyraźnie, twarde formy narzędzi mordu poczęły wyginać się jak woskowe zabawki postawione zbyt blisko pieca czy też jak przedmioty z niektórych obrazów Salvadora Dali i Paula Nasha. (Opowiadając, Old pokazywał mi reprodukcje tych płócien; miał ich całą tekę). Wszystko wiotczało, miękło, flaczało: czołgom przyklapły wieżyczki i smętnie zwisły sterczące zwykle lufy, rakiety bezwładnie opuściły spiczaste nosy, armaty i ciężkie karabiny maszynowe rozlazły się w przysadziste stożki i przypominały ogromne, gnijące grzyby. Żołnierze obu armii bezradnie przekładali z ręki do ręki karabiny chylące się we wszystkie strony jak łodygi zwiędłych kwiatów. Spod oka zerkali na towarzyszy, których hełmy opadały w fałdach i frędzlach niczym ciśnięte na czubki głów naleśniki. I nagle nad polem walki rozległ się śmiech. Przybierał na sile, rósł, potężniał; tysiące mężczyzn zanosilo się, krztusiło, parskalo... Zaraźliwa fala wesołości ogarnęła i Olda. Zachichotał i pojął, że nie chce już chować się w kuli, że wśród rozbawionych żołnierskich tłumów może być równie bezpieczny. W tym samym momencie jego ciało zostało z powrotem obrócone na wznak. I teraz bez udziału jego woli i wysiłku. Miękka powietrzna poduszka zniosła go ku pierwotnemu miejscu; temu, w którym upadł osiągnięty przez kule. Leżał tam po chwili i znowu patrzył w niebo. A ono opustoszało: bania z płynną czerwienią znikła. Wciąż słyszał wybuchy i strzały, ale po jakimś kwadransie zgiełk bitwy jakby się nieco od niego odsunął. A po dalszych kilku minutach natknął się na patrol sanitariuszy.

Niech pan nie sądzi, że Stary przekazał mi swoje dzieje w jeden wieczór. To tylko ja streszczam bardzo i przykravam jego słowa. W rzeczywistości wojenne przygody — i te sprzed ran i wizji, i te, które nadeszły potem — wypełniły ze trzy spotkania. Wymienialiśmy myśli w naszym stałym, niespiesznym rytmie i dopiero w kolejnym tygodniu osiągnęliśmy etap powojennych poczynań Olda, wysiłków, które podjął osiedliwszy się w Ameryce. Nie potrafił zapomnieć o wielkiej kuli. Nie docierały do niego lekarskie tłumaczenia pełne rozważań o szoku, stresie i halucynacjach. Czuł, że prawda leży gdzie indziej i za wszelką cenę pragnął się do niej dokopać. Gromadził pisma traktujące o zjawiskach nadprzyrodzonych: z bibliotek, księgarń i antykwariatów znosił tomy wypełnione myślami alchemików i kabalistów, kupował tanie, masowe wydania neognostyków, wyszukiwał rękopisy przywódców towarzystw ezoterycznych, wspólnot mistyków, sekt. Śledził związki między rytuałami i symbolami: od kamiennych kręgów druidów przerzucał pomosty ku wirującym tańcom derwiszów, od legendarnej, kulistej ryby bez ości i skóry ku zamkniętemu pąkowi róży z pieśni trubadurów, od rozpraw o „okrągłym żywiole”, kamieniu zwanym filius Philosophorum ku szklanym kulom jarmarcznych wróżbiarzy...

Obrał więc drogę odmienną od mojej — nie puścił się desperacko na szlaki świata licząc na szczęście czy przypadek, lecz tkwił w miejscu i pracowicie zbierał kamyczki do wielkiej mozaiki; wierzył, że w końcu zdoła ją złożyć i wtedy bezbłędnie odczyta przekaz zawarty we wzorze. Poszukiwania pochłaniały coraz większą część jego dni, nie zostawiały czasu na nic innego; mieszkał sam, zaspokajał swoje nader skromne potrzeby życiowe z renty i zasiłków opieki społecznej, wychodził z domu jedynie na stałe trasy, u których celu leżały zawsze jakieś czytelnie albo muzealne kolekcje. Otoczenie uznawało go przeważnie za niegroźnego dziwaka, niekiedy tylko straszono nim najmłodsze dzieci z sąsiedztwa, mówiąc, że jest czarnoksiężnikiem (jego dwa wspaniałe kocury idealnie pasowały do takiego wizerunku). Po kilkudziesięciu latach nieprzerwanego trudu, będąc już

starcem, zaczął poddawać się zniechęceniu. „Na pozór wiedziałem wszystko — opowiadał — a w gruncie rzeczy nie wiedziałem nic”.

Odnalazł motyw kuli w niezliczonych wierzeniach, wydobył liczne warianty zawartej w doskonałym kształcie obietnicy powszechnej jedności i pokoju, przeczytał mnóstwo raportów o przeżytych przez innych ludzi olśnieniach, o doznaniach i wizjach podobnych tym, co stały się kiedyś jego udziałem. A jednak nadal brakowało mu najważniejszej, spinającej wszystko klamry: nie wykrył, jak sprowadzić kulę ku Ziemi ani jak naprawdę wyzwolić jej moc. „Wspaniałe obrazy — mówił — odwieczne, piękne widzenia marzycieli — ale jak przemienić je w rzeczywistość? Jak skutecznie przeciwstawić rozszalałemu absurdowi?” Jego przygnębienie rosło. Raz po raz ogarniał go lęk na myśl o tym, że zabrnął w krainę ułudy i bezpowrotnie zmarnował życie. Coraz trudniej przychodziło mu zasnąć; zgorzkniały i samotny wyruszał ku najdalszym krańcom nocnego Manhattanu, godzinami włóczył się po opustoszałych bulwarach nad East River. Ale to właśnie pora bezsenności przyniosła mu okrucieństwo nadziei: ponownie ujrzał wielką kulę. Dochodziła wtedy druga w nocy, poza nim nad rzeką nie było nikogo. Najpierw spostrzegł jasny punkcik na czarnym, lśniącem tle wody. Domyślił się, że to odbłask światła wiszącego gdzieś w górze, i podniósł oczy — z nieba opadała pełna promieniującej czerwieni bania.

Stała, gdy jej najniższy krajuśzek musnął powierzchnię rzeki; potężną, na wiele pięter pnącą się ścianą, przesłoniła mu drugi brzeg, zakryła wszystko, co miał przed sobą w zasięgu wzroku. Po chwili ściana nabrała lustrzanego połysku i ukazał się na niej powiększony do miary olbrzymia i zdeformowany nieco — jak to zwykle w krzywych, wypukłych zwierciadłach — zarys ludzkiej sylwetki. Old rozpoznał siebie. A przecież nie mógł nazwać gigantycznej figury swoim odbiciem: on stał nieruchomo, lekko zgarbiony, z rękami głęboko wbitymi w kieszenie płaszcza, zaś dwuwymiarowy olbrzym poruszał się, żył własnym życiem. Nagle wykonał prawą, otwartą dłonią okrężny gest, jak gdyby ścierał parę lub kurz ze stojącej przed nim szyby, z niedostrzegalnej tafli szkła oddzielającej go od Olda. I owo zmazanie, symboliczne czy prawdziwe, czegoś utrudniającego widoczność istotnie wzbogaciło obraz. „Dopiero wtedy zauważyłem — mówił Old — że do konturów mojego niezależnego odbicia, tego zbuntowanego cienia z bajek, przylgnęła niezbyt szeroka smuga różowozłotej poświaty, taka otaczająca całe ciało aureola”.

W następnym mgnieniu kula błyskawicznie wzbijała się w górę i wszystko zniknęło.

I co? Nie pomieszały się panu jeszcze te zagadki i przygody? Nie? Bardzo się cieszę! Bo zaraz natknijemy się na kolejny miłowy kamień mojej biografii. A zarazem na punkt, w którym dzieje moje i Starego najbardziej się do siebie zbliżyły, osiągnęły apogeum wspólnoty.

Historię o kuli, odbiciu w niej i aureoli usłyszałem dokładnie w takiej postaci, w jakiej przekazałem ją panu. Niczego w niej nie zmieniałem. Ale mimo wszystko winien jestem pewne uzupełnienie, dodatkowy komentarz, bez którego epizod ten dotarłby do pana cokolwiek zubożony i odbarwiony. Wspominałem już, że jako partner w rozmowach Old mógł uchodzić za wzór opanowania, a nawet flegmy. Zawsze starannie obmyślał swoje kwestie, wypowiadał zdania miarowo i spokojnie, nie dopuszczał cienia intelektualnego i emocjonalnego bałaganu. Otóż gdy opowiadał o drugim w swym życiu spotkaniu z kulą, w zachowaniu jego zaszła zaskakująca zmiana: okazywał wyraźne podniecenie i niepokój, spiesząc się połykał sylaby i całe słowa, co sekundę spoglądał na mnie, jak gdyby próbując nie utracić najmniejszej nowości w moim wyrazie twarzy... Ciekawe, prawda? Wszystko wyjaśniło się u końca monologu: po ostatnich słowach Stary zerwał się z fotela i stanąwszy przede mną zażądał, bym podniósł się także.

Potem lekko wyciągnął przed siebie otwartą dłoń i wykonał ów naśladowy czyszczenie szyby, okrężny ruch, o którym mi dopiero co opowiadał. Musiałem zmrużyć powieki, bo w tym samym

momencie uderzył w moje oczy strumień światła; w całym pokoju zrobiło się o wiele jaśniej. Gdy zaś oswoiłem się z natężeniem blasku i spojrzałem na mego Mistrza, wokół jego postaci drżała już mgielka złotoróżowych płomyczków.

Z mojej miny Old poznał natychmiast, że eksperyment się powiódł. Uśmiechnął się radośnie. A mnie przyszło do głowy, że przyłapałem go już kiedyś na tym samym uśmiechu: podobny pojawił się przecież na jego twarzy, gdy wyznałem, że zdalne poruszanie przedmiotami stanowi mój jedyny dar.

Tyle, że teraz radość była pełniejsza, tryumfalna, po dziecięcemu nieledwie otwarta... Starzec cieszył się jak dziecko — w tym wypadku nie sprowadzało się to do oklepanego powiedzenia, lecz oznaczało najszczerszą prawdę.

I zaraz zasypany zostałem uwagami, informacjami i wytłumaczeniami; spadły na mnie jeszcze szybciej, jeszcze bardziej nieskładnie i jeszcze burzliwiej niż poprzedzająca je opowieść. Old mówił, że długo się zastanawiał nad ukrytym sensem spotkania z kulą, że gest ogromnej postaci w lustrze i zasłona, którą zdjął z jego, Olda, oczu, nie dawały mu spokoju, że doszedł wreszcie do wniosku, iż d, którzy przeżyli prawdziwy kontakt, stają się źródłem niezwykłego, różowozłotego światła, że to jednak nie wystarczy, że trzeba jeszcze umieć dostrzec ów blask i dzięki niemu rozpoznawać się wzajemnie i że temu właśnie służy magiczny obrzęd starcia bielma, co przytępia ostrość każdego zwyczajnego, nie wtajemniczonego wzroku.

„Nie miałem żadnej gwarancji, że rozumię słusznie — mówił Old — stworzyłem całą tę konstrukcję z samych strzępów przypuszczeń, z misternego, ale jakże naciąganego ich posplatania. Odbicie w kuli to jednocześnie JA i nie-JA: ponieważ JA, więc ktoś z doświadczenia znający działanie ukrytych mocy, a ponieważ nie-JA, więc ktoś drugi, ktoś niezbędny po to, by określonym gestem otworzył nowe pole widzenia moim oczom, i ponieważ jednak JA, więc po mnie pełgają złotoróżowe ogniki... — I śmiejąc się dodawał: — Zawile, czyż nie?”

W oceanie przypuszczeń, niepewności i rozkołysanych, wciąż jak piana rwących się na kawałki wniosków tonął Stary długo. Aż do dnia, w którym na nowojorskiej ulicy spostrzegł mnie. „W pierwszej chwili widziałem tylko to światło — opowiadał w najwyższym podnieceniu — tylko otaczający cię blask! To było jak uderzenie! Wstrzymałem oddech, serce prawie przestało bić...” Gdy przeszedłem obok nie zdradzając żadnych objawów zainteresowania czy niepokoju, zrozumiał, że wprawdzie mam za sobą kontakt, ale moje oczy wciąż jeszcze są zwyczajne. I od razu wiedział, niewątpliwie, definitywnie wiedział, że wprowadzenie mnie w sztukę dostrzegania innych ludzi z naszego kręgu jest jego zadaniem. Zaczął mnie śledzić. Wytropił miejsce, w którym mieszkałem. Wielokrotnie przecinał moje drogi. Wreszcie zdecydował się na to, by mnie zaczepić... A co było dalej — już pan słyszał... Na zakończenie Old wyjawiał mi jeszcze wszystkie wątpliwości i rozterki, jakie dręczyły go przez cały czas naszej znajomości: zwlekał z próbą dokonania najważniejszego obrzędu, bo obawiał się, że w wypadku jej powodzenia natychmiast odejdę, że cała jego wiedza, o której przekazaniu komuś takiemu jak ja od dawna marzył, nie wyda mi się już wtedy atrakcyjna; właściwie nie był też wcale pewien, czy zdoła prawidłowo odtworzyć magiczny gest, a niekiedy zaczynał nawet wątpić, czy taki gest w ogóle istnieje; zaś na dodatek odczuwał nieustanną potrzebę utwierdzenia w sobie przeświadczenia o mojej niewiedzy — po prostu wciąż nękała go myśl, że objawiono mi więcej, niż dałem po sobie poznać przy naszym pierwszym minięciu się na ulicy i niż przyznaję... Widzi pan więc, że przez tych parę miesięcy stosunek Starego do mnie podlegał działaniu sił cokolwiek splątanych, a nawet mogących wzajemnie się znosić. Dodajmy do tego huśtawkę myśli i nastrojów z okresu poprzedzającego nasze spotkanie, a otrzymamy nielichy koktajl. Wspomniana już maska Mistrza — maska nieprzeniknioności, powściągliwości i opanowania — musiała w tych warunkach sporo kosztować. I nic dziwnego, że zrzucając ją Old poczuł wyraźną



ulgę. „Wiesz, Marku — mówił — dobrze, że mamy to już za sobą, że wzięłaś ode mnie wszystko, co najważniejsze... Tak się cieszę, że przydadzą się moje przemyślenia... I że to dzięki mnie nie przeoczysz więcej kogokolwiek z najbliższych nam ludzi... Jednak nie zmarnowałem życia, prawda?”

Po tym wieczorze ostatecznego odkrycia kart nasza znajomość wkroczyła w kolejną fazę; myślę, że właśnie wtedy naprawdę staliśmy się przyjaciółmi. Blask bijący od nas, obopólnie już teraz postrzegany, rodził poczucie wspólnoty, a zarazem podkreślał odrębność wobec reszty świata. Odrzucenie sekretów starło do reszty najlżejsze nawet ślady nieufności. Mogłem bez przeszkód zakopywać się w bibliotece Olda. Następnie razem analizowaliśmy najciekawsze z wydobytych przeze mnie książek; szukaliśmy w nich przepisu na najwłaściwszy kierunek moich dalszych kroków. „Ja nie zdążę — wielokrotnie powtarzał Stary — ja już nie... Ale ty na pewno osiągniesz cel”. Mój Boże — jak mocno wierzyliśmy obaj w istnienie tego celu! I nieustannie nawzajem umacnialiśmy się w tej wierze... Chociaż w końcu nie udało się nam wyczytać żadnej nowej wskazówki, to jednak wspominam owe lektury i rozważania jako coś bardzo cennego, głębokiego, mimo wszystko zbliżającego ku sprawom najistotniejszym...

Kto wie: może na takich rozmowach z Oldem upłynęłyby mi całe lata?, może wcale nie nabrałbym ochoty na rozstanie z Manhattanem? Ale pewnego deszczowego popołudnia nasze kolejne spotkanie nie doszło już do skutku. Przeczucie tknęło mnie jeszcze przed domem, gdy zobaczyłem na ulicy oba koty. Bardzo rzadko — i to tylko przy pięknej pogodzie, bywały wypuszczane z mieszkania, a teraz siedziały pod murem na mokrym chodniku; nastroszone, apatyczne, osowiałe... Nikt nie odpowiedział na pukanie do drzwi.

Dopiero po chwili zza węgła korytarza wychynął jeden z sąsiadów i poinformował mnie, że Old zmarł nad ranem. Ciało przewieziono już do domu pogrzebowego, a klucze zabrał właściciel posesji... Nie, nie poszedłem na cmentarz. Nie czułem się na siłach do uczestniczenia w tej ostatniej posłudze; śmierć Starego przerażała i zasmucała mnie zbyt mocno, bym potrafił znieść wszystkie podkreślające jej odczywistość i nieodwracalność obrządki. To nie było dla mnie przecież zwykłe odejście człowieka bardzo bliskiego.

Dla mnie świat na nowo zamieniał się w pustynię, na nowo zostawałem zupełnie sam naprzeciw miliardów nie mogących zrozumieć mnie ludzi... Moja samotność... Do czego można by ją przyrównać? Do opuszczenia rozbitka z bezludnej wyspy, który przeżył śmierć jedyne go towarzysza? Nawet to nie oddaje chyba rozmiarów pustki, jaka mnie wchłonęła... Musiałem wykreślić adres Olda z mojego stałego rozkładu dnia, wyłącznie w sobie musiałem poszukać nowego kształtu duchowej równowagi. Niełatwo mi to przyszło... Co? Ach, chciałby pan wiedzieć, co stało się z kotami... Piękne pytanie, mogłem się go spodziewać po panu. No cóż — zabrałem je ze sobą i przez kilka dni, nie zważając na protesty pokojówek, trzymałem w hotelowym numerze. Potem szczęśliwie udało mi się znaleźć dobrych ludzi, którzy zechcieli je przygarnąć

.....  
Myślę o jego samotności. I wierzę, że mogła napawać go lękiem. Poczuć się jednym jedynym ziarnkiem czarnego piasku na bezkresnej pustyni piasków żółtych — to przecież naprawdę przerażające... A ta — poczuciu własnej inności towarzysząca — zupełna, beznadziejna izolacja od bliźnich? Zimna ciekawość i niemożność zrozumienia jednocześnie dostrzegane w ich oczach? Więc wierzę w jego lęk... Myślę też znowu o grze, którą prowadził dla tych wszystkich nie mogących go pojąć ludzi: dla tych zabijanych i wydających wyroki, złamanych i płytko zadowolonych z siebie, głodujących i pomnażających bogactwa... Jestem pewien, jestem zupełnie pewien, że nie mógł się wycofać.

Nie mógł uciec spod przemożnego wpływu kuli. Jej wezwanie i nakaz działania musiały trwać; świat wciąż pękał, pęka nadal, a ona niosła i niesie ostatnią obietnicę... Nagle uświadamiam sobie, że Hold wspominał o dwojgu ludzi, którzy wprowadzili go w krąg najściślejzego wtajemniczenia. Kto przyszedł po Starym? Ogarnia mnie wielka ciekawość tej drugiej osoby. Ale nie pytam; wiem, że i bez tego zaraz usłyszę odpowiedź.

---

— Jak pan myśli: co robiłem dalej? Nie potrafi pan sobie wyobrazić? Wcale się nie dziwię! Ja sam także przez wiele dni nie umiałem przedsięwziąć nic rozsądnego: tkwiłem w całkowitej próżni. W końcu zdołałem się z niej wyrwać. Właściwie obrałem drogę najbardziej szaloną z możliwych — dzień po dniu, bez żadnego planu, zacząłem poświęcać na odwiedzanie miejsc najludniejszych, zatłoczonych, przyciągających przybyszów z najodleglejszych stron. Lotniska i dworce kolejowe, stadiony w czas baseballowych rozgrywek i festiwale muzyki pop, uroczystości religijne i polityczne wiece — oto moje obszary łowieckie. Oczywiście zupełnie mnie nie obchodziła treść tych zgromadzeń; interesowała mnie i fascynowała sama forma — obecność tysięcy, wzajemna bliskość skupionych na niewielkiej przestrzeni ciał, morza głów... Wciąż na nowo, z nieodmiennym uporem wchodziłem między rzesze i pchałem się w największy ścisk. Z uwagą do ostatnich granic napiętą i ze wzrokiem do bólu wyteżonym szukałem tylko jednego — różowozłotej poświaty, którą widywałem wokół postaci Olda. Bez skutku! Te tysiące i miliony,—które przepływały obok mnie, składały się z samych normalnych, zwykłych ludzi. Takich, dla których kula mogła być jedynie snem szaleńca. W ciągu kilku miesięcy zdobyłem doświadczenia, które dawały mi kwalifikacje prawdziwego eksperta od spraw tłoku w Ameryce. Myślę, że jeszcze dziś mógłbym napisać na ten temat niezłą książkę. Wtedy jednak nie w głowie mi były bestsellery z gatunku modnej, popularnej socjologii. Rwałem naprzód opętany wyłącznie pragnieniem trafienia na najważniejszy dla mnie trop, a nie znalazłszy niczego tam, gdzie rozpocząłem poszukiwania, postanowiłem przenieść je na inne kontynenty.

Europa... tam się kierowałem. W dzień czy dwa załatwiłem wszelkie formalności i z biletem w kieszeni wszedłem do hallu Pan American na lotnisku Kennedy'ego. Pozwalałem już sobie wówczas na momenty pewnego zmniejszenia koncentracji; rozdział amerykański uważałem za definitywnie zamknięty, a europejski za jeszcze nie otwarty, więc korzystałem z uroków swoistego intermezza. Mówiąc prościej — odpoczywałem. Tak też było i tamtego popołudnia: cieszyłem się przyjemnym stanem wewnętrznej lekkości, jaki niekiedy przynosi nam podróż, mój wzrok bez żadnej specjalnej intencji prześlizgiwał się po otoczeniu, leniwe myśli bujały wśród jakichś pourywanych, pierzastych skojarzeń...

Ale nie zdążyłem przebyć nawet połowy przestrzeni dzielącej główne wejście do hallu od korytarzy prowadzących ku samolotom, gdy nagle — w przeciągu ułamka sekundy, jak na cięcie batem — moja rozproszona uwaga przeszła do najwyższego skupienia. Wstrząs szarpnął wszystkimi moimi zmysłami; wzrok i słuch natężyły się gotowe chłonać każdy płynący ku nim sygnał... Co? Tak. Oczywiście. W końcu cóż innego mogłoby mnie aż tak poruszyć? Najpierw nieco przede mną, ponad plecami i głowami przesłaniających mi widok ludzi, spostrzegłem jedynie skrawek złotoróżowej aureoli. Bezceremonialnie roztrąciwszy stojących na drodze rzuciłem się naprzód i po chwili ukazała mi się cała spowita w blask postać.

To była dziewczyna; uśmiechnęła się i zamachała dłonią na znak powitania. Podbiegliśmy ku sobie, chwyciłem ją w ramiona... Potem staliśmy przytuleni nie mówiąc ani słowa... W życiu nas obojga dokonywał się najważniejszy może przełom, ale nie sędzę, by było to widoczne dla postronnego obserwatora. Z takiej perspektywy wydawali się zapewne zwykłą parą kochanków

lub przyjaciół spotykających się po długiej rozłące; do pełnego obrazu brakowało tylko bukietu kwiatów w mojej ręce...

Tak więc poznałem Marię... Czy wynikało to ze zbiegu okoliczności, czy też stało się za sprawą sił kierujących naszymi krokami? Nie wiem. A zresztą: czy los, przypadek, zbieg okoliczności, działanie owych sił — to czasem nie jedno? Oto pytanie, którego pewnie nigdy nie przestanę sobie zadawać...

Wtedy, na lotnisku Kennedy'ego, przecięcie naszych dróg wypadło niemalże w tym samym punkcie każdej z nich; Maria zaszła wprawdzie o kilka kroków dalej (miałem się o tym dowiedzieć znacznie później), ale oboje” minęliśmy rubież spotkania z kulą, znaliśmy jej ukryty sens, umieliśmy rozpoznać tych, którzy również przeżyli kontakt... Zarazem nie znaczy to jednak wcale, by zupełnie identyczne były wszystkie nasze doświadczenia; nie, przebrnęliśmy przez odmienne, całkowicie własne cierpienia i lęki... Sądzę nawet, że ów indywidualizm i biograficzna różnorodność stanowiły efekt pewnej reguły czy prawidłowości. Porównując kiedyś dzieje nasze i Olda, i tych, którzy pomogli Marii — doszliśmy do wniosku, że nie ma jednego szlaku prowadzącego ku kuli i spełnieniu związanej z nią misji. Szlaków jest dokładnie tyle, ile ludzi, co je przeszli. Użyłem przed chwilą słowa „misja”... Pamięta pan jeszcze? — tak właśnie określiłem trzeci z najważniejszych okresów w moim życiu, ten, co nastąpił po pokucie i wtajemniczeniu. Onim przyjdzie mi teraz wreszcie opowiedzieć; właśnie w tym punkcie mojej historii wskazać trzeba jego początek. To ostateczne odnalezienie kierunku zawdzięczam Marii: od chwili naszego spotkania ona wzięła na siebie rolę przewodnika, a ja podporządkowałem się bez sprzeciwu. Szczerze powiedziawszy nawet nie zdałem sobie z tego sprawy: służyłem w wielkim zadaniu jako adiutant i pomocnik, nie wszystkiego jeszcze byłem świadom i pozwalałem decydować za siebie, ale ani razu nie poczułem się kimś drugorzędnym czy gorszym, wciąż wydawało mi się, że pewnie trwam na pozycji współnika i partnera.

Tuż po naszym zderzeniu, wyswobodziwszy się w końcu z moich uścisków, Maria odsunęła mnie na odległość wyciągniętych ramion. Staliśmy tak i z uśmiechem przyglądaliśmy się sobie. Nie mówiliśmy nic, a wiedzieliśmy wszystko: że należymy do zupełnie odrębnej, maleńkiej wspólnoty, że oboje widzimy świat tak samo i zarazem całkiem inaczej niż ktokolwiek w mrowiącym się wokół nas tłumie, że rozpaczliwie potrzebujemy się nawzajem, bo jedynie każde z nas może naprawdę przełamać samotność drugiego, że o naszym zetknięciu przesądzić musiało przeznaczenie...

Zapytała, dokąd lecę. Usłyszawszy odpowiedź przecząco pokręciła głową i orzekła, że powinienem udać się tam, gdzie i ona. Zgadnie pan, w jakim kierunku zmierzała? Nie? W te same góry, u których stóp my dwaj siedzimy dzisiaj! Nie zastanawiałem się wówczas długo: wymieniłem bilet i poleciłem przetransportować moje bagaże. A w godzinę czy dwie później zajęliśmy już fotele na pokładzie potężnego DC-10, który po przebyciu Atlantyku, krótkim postoju w Afryce i paru dalszych godzinach lotu miał nas donieść na miejsce. Nadal rozmawialiśmy niewiele. Trzymaliśmy się tylko cały czas za ręce, raz po raz zwracaliśmy ku sobie twarze, by przesłać uśmiechy. Myślę, że oboje czuliśmy się jednakowo szczęśliwi.

Niech mnie pan nie pyta, czy Maria była piękna! Potakując panu mógłbym zasiać podejrzenie, że moje uczucia dla niej da się sprowadzić do powierzchownej fascynacji czy impresyjnego zakochania się w nieznanym. A we mnie spokojnym ciepłem rozlały się nastroje dużo mocniejsze i głębsze. Do ogromnego wrażenia, jakie na mnie wywarła, i jej uroda wniosła tylko okrucieństwo, wcale nie najważniejszą część. Od pierwszej sekundy najbardziej liczyło się owo milczące porozumienie, cudowna zbędność wyjaśnień oraz reżyserowanych min i gestów, przeświadczenie, że nie możemy się rozminąć w naszych refleksjach i emocjach...

Należałem do Marii i wiedziałem, że ona bez reszty należy do mnie. Wraz z uświadomieniem

sobie tej wzajemności pokonałem nieustannie, zimne napięcie, jakie wzbudzało się we mnie pod wpływem osamotnienia i poczucia obcości wśród ludzi; ostatecznie rozwiązał się wewnętrzny przymus ciągłego — i przez tak długi czas beznadziejnego — poszukiwania, wyglądania i tropienia istot mi pokrewnych.

Wypełniła się bolesna luka w mojej psychice i mogłem spróbować odbudowy równowagi ducha. Uspokojony i rozluźniony odnajdywałem nowy kształt zgody ze światem i z kolejami własnej egzystencji; nie zapomniałem o żadnym z poznanych i zrozumianych odcieni zła, ale o wiele mocniej niż wprzód wierzyłem w powodzenie mojej z nim walki.

Po wylądowaniu na ostatnim z lotnisk rejsu przenieśliśmy nasze bagaże do wynajętego willysa i jeszcze przez blisko trzy doby tłukliśmy się po wąskich szosach, osuwających się brzegami ku miękkim poboczom. Zauważyłem, że Maria dobrze zna te strony, panujące w nich warunki i rozpowszechnione obyczaje — bez trudu porozumiewała się ze wszystkimi, świetnie radziła sobie za kierownicą płynnie klucząc między stadami riks, karawanami słońi i osłów oraz powolnymi grupami obojętnych na zewnętrzną rzeczywistość, półnagich piechurów, szalony upał — nic nie mniejszy od dzisiejszego — zdawał się nie być dla niej jakąkolwiek dolegliwością. Dla mnie, po długim okresie bytowania w luksusach amerykańskich standardów higienicznych (sam pan przecież zna te niezliczone łazienki, dezodoranty i systemy klimatyzacyjne), tropikalna egzotyka okazała się przy pierwszym zetknięciu nieco bardziej uciążliwa. Ale wkrótce wróciły do mnie nawyki i odporność doświadczonego włóczęgi; z każdą godziną i każdym kilometrem moje samopoczucie stawało się lepsze. Przez cały czas podróży, atmosfera bliskości, jaka spadła na nas jeszcze w Nowym Jorku, utrzymała się i nie zmieniła ani na jotę charakteru — właściwsza chyba była dla pary starych przyjaciół czy zgodnego rodzeństwa niż dla wzajemnie zaciekawionych sobą kobiety i mężczyzny.

Autobiograficzne opowieści, które pod postacią długaśnych, wieloodcinkowych seriali wymienialiśmy na postojach i podczas posiłków, nieodparcie przypominały powracanie myślami w przeszłość wspólną. Były to wspominki, jakie zwykle zdarzają się ludziom, co razem spędzili dzieciństwo, młodość albo przynajmniej szereg minionych lat. Mówiłem na przykład, że coś kiedyś zobaczyłem. A Maria natychmiast dopowiadała: „I pomyślałeś wtedy to i to”. Potakiwałem, bo nie myliła się nigdy. I ciągnąłem wątek po to tylko, by raz za razem przekonywać się, że ona przeczuwa i zawczasu wyobraża sobie wszystko. Dokładnie to samo działo się zresztą ze mną, gdy płynęła jej opowieść.

Chciałbym zostać przez pana dobrze zrozumiany: koleje naszych losów, nasze przygody, przeżycia i doznania różniły się bardzo. O tym już wspominałem. Dodam teraz, że nigdy wcześniej nie trafiła nam się okazja usłyszenia czegokolwiek o sobie. A jednak poprzez powierzchowne odmienności naszych historii przebijało nieustannie jakieś zasadnicze, fundamentalne podobieństwo: Ono to sprawiało, że każde z nas mogło dopiero co wysłuchane, nowe dla siebie fakty z życia drugiego odbierać i traktować jak sprawy znane od dawna. Może od zawsze. Ten familijnie wspominkowy ton naszych rozmów uzupełniały dalekie od erotyki noce: spaliśmy w ubraniach, na rozłożonych siedzeniach willysa albo pod gołym niebem, na materacach.

Doprawdy — byliśmy niewinnymi dziećmi, bratem i siostrą, wędrownym ascetą i dziewczyną z aśramy, każdą ze słynnych platonicznych par, tylko nie kochankami. Miłość przyszła dopiero u stóp gór. I była jak wszystko między nami — nieuchronna, oczywista i spokojna, głęboka i piękna. Nie zdziwi pana pewnie, gdy wyznam, że przez moje życie przewinęło się sporo kobiet. Nie różniłem się w tej mierze od większości mężczyzn z mojego środowiska.

Na tej też podstawie zbudowałem w sobie nieco aroganckie przekonanie, że w sferze miłosnych związków nie czeka mnie już nic nowego, że mogę doznać jedynie przyjemności i satysfakcji do

znudzenia znanych. A noce spędzone z Marią w małym, do tego tutaj podobnym hoteliku zburzyły do cna moje wyobrażenia i zatarły nawet wspomnienia o dawniejszych, pospolitych namiętnościach.

Pragnąłbym uniknąć właściwego pewnemu typowi mężczyzn, a nienawistnego mi ekshibicjonizmu, ale niech pan uwierzy, że wykroczyliśmy poza zwykłe ramy zmysłowości czy romantycznych uniesień. Po raz drugi w życiu byłem chłopcem odkrywającym kobietę. Pod wpływem tego wydarzenia na nowo zaczynałem pojmować i ją, i samego siebie... W poprzednich moich miłościach i przygodach dłuższe przebywanie z partnerką prowadziło mnie nieodmiennie ku zobojętnieniu na jej cielesne i duchowe uroki; ku znużeniu, z którego jedyną ucieczką stanowiły marzenia o następczyni tej, co akurat była obok.

Cóż! — relacja typowa dla naskórkowych więzi naszej epoki: nowe przedmioty i nowe kobiety, zamienne części i zamienni ludzie... Z Marią zależności się odwróciły: im więcej mijało wspólnie spędzonych dni i nocy, tym mocniej się przekonywałem, że nie potrafię już zapragnąć innej, że istniejące między nami przyciąganie wciąż rośnie i że jakakolwiek myśl o rozstaniu napawa mnie autentyczną obawą. Może więc zgodzi się pan, że wchodziła w grę prawdziwa miłość? Jedna z tych, co przytrafiają się mniej więcej raz na pokolenie i dostarczają materiału romansopisarzom? Tak, ja widziałem Marię i siebie tylko na takich wyżynach. Widziałem nas tam podówczas i widzę nadal...

Świt po naszej pierwszej miłosnej nocy przyniósł epizod na pozór dosyć zwyczajny, a przecież i tym razem podszyty znaczeniami, które w pełni miały się objawić o wiele później: kryła się za nim przewaga, jaką miała nade mną Maria, ów wspomniany już krok dalej, jaki zdążyła postawić na drodze ku ostatecznemu wtajemniczeniu i spełnieniu misji. Tak, dzisiaj wiem o tym wszystko, ale wtedy mogłem oczywiście snuć co najwyżej mgliste przypuszczenia. Na dodatek większość z nich prowadziła w całkowicie fałszywych kierunkach... Co?! Przepraszam! Jestem już trochę zmęczony i dlatego momentami daję się wciągnąć ubocznym rozważaniom... O czym mówiłem? Ach tak — ten epizod... Maria powiedziała, że chce mi coś ofiarować. Prezentem okazała się maleńka, oprawna w safian książeczka. O!, proszę spojrzeć! — właśnie ta; ją też zawsze noszę przy sobie. Staranność i sposób wykonania dowodzą, że drobiazg ten pochodzi z lat dawnych, z samych początków naszego stulecia albo może nawet z wieku ubiegłego. Co mogą zawierać pańskim zdaniem te karteczki? Czy to miniaturowy sztambuch? Balowy . karnecik? Notesik na złote myśli? Nie potrafi pan wymyślić nic więcej? Ja też nie miałem ochoty trudzić się zgadywaniem; gdy tylko książeczka znalazła się w moich dłoniach, spróbowałem otworzyć mosiężną sprzączkę spinającą okładki i po prostu zajrzeć do środka. Ale Maria nie pozwoliła mi na to. Powiedziała: „Przeczytasz to dopiero po naszym rozstaniu”. Zaprotestowałem od razu. Z zapalem zacząłem dowodzić, że nie odejdę nigdy i nie pozwolę, by ona to zrobiła. Mówiłem, jak bardzo ją kocham i jak smutno żyło mi się przed naszym spotkaniem.

Gorącym szeptem upewniałem ją, że jest inna niż wszystkie... Pan rozumie: jednym tchem wyrzuciłem z siebie cały repertuar sympatycznych, sentymentalnych bzdurek, jakie zwykle — z najszczerzym przekonaniem i z największą powagą — wygłasza się w podobnych sytuacjach. Nastrój milczącej Marii uchodził wtedy w moich oczach za serdeczne, pełne przejęcia zasłuchanie; dzisiaj wydaje mi się, że raczej okazywała wobec mnie pobłażliwą cierpliwość.

Kiedy skończyłem, powtórzyła: „Przeczytasz to dopiero po naszym rozstaniu. Albo jeżeli coś mi się stanie...”. Ton jej głosu uświadomił mi nagle, że to nie kokieteria kryje się za tymi słowami. Zdałem sobie sprawę, że maleńka książeczka rzeczywiście może zawierać treści, bez których nie zdołam się obejść, jeśli znowu, z jakiegokolwiek przyczyny, zostanę sam. I pojąłem wreszcie, że Maria troszczy się o mnie, że niepokoi ją, jak przebrnę przez trudny moment, który naprawdę może kiedyś nadejść, że chciałaby mi wówczas dopomóc, uchronić przed bólem i miotaniem się na oślep...

Realność groźby zasmuciła mnie i oczywiście uczyniła dla mnie Marię jeszcze bardziej pociągającą... Pełen obydwu uczuć starannie schowałem zapięty na sprzączkę tomik. Nie rozmawialiśmy o nim więcej.

Następnego dnia od samego rana utonęliśmy w kramikach i sklepach miasteczka. Gromadziliśmy dla mnie ekwipunek alpinisty; dla mnie, bo w bagażach Marii nie brakowało niczego. Zakupy nie okazały się zbyt trudne ani nadmiernie kosztowne — wielkie wysokogórskie wyprawy, których bezlik przemierza te strony, pozostawiają za sobą niemało całkiem dobrego wyposażenia i wszystko to prędzej czy później trafia na miejscowy rynek. Zdażył pan zauważyć bogactwo tutejszej starzyzny? Towary amerykańskie, japońskie, angielskie, francuskie, włoskie... Każda sięgająca ku szczytom nacja porzuca jakieś atrakcyjne resztki. Nic też dziwnego, że odbiło się to pięknie w ostatecznym składzie mego stroju i sprzętu: solidne niemieckie buciory, ciepły anorak z metką fabryki odzieży w Vancouverze, włoski plecak, czekan i raki z wytłoczonymi w metalu literkami „Made in Japan” — przynajmniej od tej strony byłem niewątpliwym internacjonalistą...

Słucham? No nie! Nie sądzi pan chyba, że we dwójkę i przy moim kompletnym nieobeznaniu ze wspinaczką porwali się na wierzchołki ośmiotysięczników czy nawet gór o kilometr lub dwa niższych. Uprawialiśmy trekking — długie i męczące, ale pasjonujące zarazem spaceru u podstaw kolosów, wędrowki po tych rejonach, w których prawdziwe ekspedycje zakładają swoje bazy lub co najwyżej pierwsze | obozy. Dojeżdżaliśmy do punktów wymarszu naszym willysem albo — gdy droga zamieniała się w zbyt wąską, stromą, kamienistą ścieżynkę — na grzbietach prowadzonych i przez przewodników osłów. Przedzieraliśmy się przez lasy brzozowe i sosnowe, przez gęstwiny bambusów i rododendronów; kluczyliśmy w labiryntach szczelin, kotlinek i wzniesień; ocieraliśmy się o wysunięte jęzory : lodowców i wdrapywaliśmy na ściany usypanych przed i nimi moren... Noce spędzaliśmy w samochodzie, w namiocie, w hotelikach leżących na naszym szlaku miasteczek, a czasami, gdy dopisywała pogoda, na świeżym powietrzu...

Dokąd zmierzaliśmy? Nie wiedziałem tego wówczas i nawet nie przychodziło mi do głowy, by się nad tym zastanawiać ani by pytać o to Marię. Powiedziałem już panu: był to okres całkowitego, radosnego i chyba tylko w części świadomego podporządkowania się jej woli. Szczęście przebywania z nią przesłoniło mi wszystko inne; gdyby uznała, że mamy się tak włóczyć po górach aż do całkowitej utraty sił i ostatecznego wyczerpania środków — przystałbym na to bez najmniejszych wahań... Równocześnie nie czułem jednak żadnych wyrzutów sumienia w związku z zaniedbaniem misji — po prostu nie uważałem, bym ją zaniedbał. Fakt, że oboje — i Maria, i ja — należeliśmy do wspólnoty ludzi znających kulę, moment naszego spotkania, treść naszych rozmów — oto co mnie upewniało, iż nie błąkami się bez celu i że nie możemy zejść na manowce.

Zywiłem głęboką, niezachwianą pewnością, że każda razem spędzona przez nas chwila zawiera podwójny — a więc nie tylko ten dostrzegalny gołym okiem, zewnętrzny — sens. Podskórnie czułem, że wciąż, każdym krokiem, zbliżamy się ; do czegoś istotnego. Ufałem — i Marii, i sobie, i nieznanym mocom...

Stopniowo docieraliśmy coraz wyżej, pokonywaliśmy odcinki coraz trudniejsze... W owych dniach, o których nawet dziś nie umiem spokojnie, bez bólu myśleć i mówić, rozbiliśmy nasz namiot prawie cztery tysiące metrów ponad poziomem morza. Wybraliśmy otoczoną brzozowym laskiem polankę; potężna boczna morena oddzielała ją od lodowca, ponad jego białą płaszczyzną rysowały się na tle nieba granie i szczyty...

Właściwie wybór tego miejsca był trochę przymusowy — zatrzymało nas załamanie się pogody, na którego nieuchronność wiele wskazywało od dawna. Popadający już któryś dzień z rzędu deszcz zaczął przechodzić w śnieżyce. Robiło się zimniej i zimniej. Spoza pociemniałych łańcuchów gór

wypełzały bez przerwy nowe, ciężkimi wałami toczące się chmury. Odeszliśmy daleko od ludzkich siedzib i naszego samochodu; powrót wydawał się w tych warunkach zbyt morderczą, a biwak rozwiązaniem najprostszym. I utknęliśmy na kilka dni. Wiatr nie przestawał wyć i szarpać namiotem; prawie nie wychodziliśmy na zewnątrz. Wyjątkowo źle znosiłem tym razem atmosferyczne szaleństwo: odczuwałem duszności, byłem podenerwowany, sypiałem płytko i niespokojnie.

Za to Maria doskonale panowała nad sobą i robiła wszystko, by rozładować mój nastrój. W końcu kolejnego wieczora wiatr ucichł i śnieg przestał padać, a gdy wygramoliliśmy się przed namiot, na niebie mrugały już gwiazdy.

Zrozumieliśmy, że aura powraca do równowagi i następnego ranka na pewno pozwoli nam wyruszyć dalej. Nocna cisza, jaka zapadła nad świeżą bielą śniegu, w jednej chwili przyniosła mi odprężenie; doznałem przyjemnej, ciało i umysł przenikającej ulgi. Maria kipiała wesołym ożywieniem. Pamiętam, że jak mała dziewczynka podskakiwała na jednej nodze i klaszcząc w dłonie powtarzała: „Nareszcie! Nareszcie! Nareszcie!”

Tamtej nocy, po raz pierwszy od blisko tygodnia, spałem głęboko i mocno. Gdy się obudziłem, Marii nie było już w namiocie. Wsunąłem rękę w głąb jej śpiwora: ostygł zupełnie, a to znaczyło, że musiała odejść przed dłuższą chwilą. Wyłuskałem się z ciepłych płacht i ja. Widok, jaki ukazał się moim oczom na polanie, tchnął majestatem i pięknem; mocne słońce pokryło góry szkliwem ostrego, rażącego oczy blasku, granatowe prawie niebo stało się tłem, na którym wyraźnie widniały najdrobniejsze szczegóły ich kształtów, przejrzystość powietrza miała w sobie coś z powiększającego szkła — wszystko czyniła wyższym, potężniejszym, bardziej wybujałym... Wokół samych szczytów wciąż szalał wiatr — raz po raz zwiewał śnieg z grani i otaczał najniebezpieczniejsze urwiska białymi chmurami pyłu. Ale na dole było bardzo ciepło — śnieżna pokrywa topniała błyskawicznie odsłaniając zieleni, trawa i krzewy parowały. Marii nie dostrzegłem nigdzie w pobliżu.

Zacząłem więc zataczać wzrokiem coraz szersze koła i wtedy tuż powyżej ciemnozielonej, prawie brązowej linii morenowego grzbietu, na białej płaszczyźnie lodowca zobaczyłem maleńki, wolno przesuwający się punkcik. Chwyciłem lornetkę: tak!, to była ona! Schodziła już w dół. Przyglądałem się jej zwinnym ruchom, gdy nagle zaniepokoiło mnie odbicie jakiegoś błysku, które prześlizgnęło się po górnych krawędziach szkieł. Spojrzałem wyżej, ponad Marię, i skamieniałem z przerażenia: bariera seraków podszczytowego plateau zawałiła się, olbrzymia masa śniegu oberwała się i runęła w dół. Lawina! Sunęła coraz szybciej po lodospadzie, pędziła wzbijając białoszare obłoki. Ciężkie kłęby rozszerzały się, zagarniały wciąż nowe połacie zbocza.

Opanował mnie stan zbliżony do tych, jakie przydarzają się w koszmarnych snach — widziałem zbliżający się, straszliwy walec i nie mogłem zrobić najmniejszego ruchu ani wydobyć z siebie głosu. W końcu krzyknąłem rozpaczliwie, ale Maria nie słyszała mnie przecież: bezszelestny początkowo ślizg ton śniegu obrósł już głuchym łoskotem, a ten potężniał w basowe dudnienie.

Nie było żadnego sposobu, by jej pomóc! Nic nie mogło jej ocalić! Przemozna siła bolesnej fascynacji nie pozwalała mi odjąć od oczu lornetki; tkwiłem w słońcu, wśród zieleni i niczym widz śledziłem tragiczny spektakl. Aż do momentu, w którym biała ściana wchłonęła mikroskopijną na jej tle, bezbroną wobec grzmiącej potęgi ludzką sylwetkę... Niech pan uwierzy, że przez cały ten czas nie pomyślałem o sobie.

Ale kiedy w następnej sekundzie pierwsze drzewa na morenie znikły w śnieżnej kurzawie, alarmowym dzwonkiem odezwał się we mnie instynkt samozachowawczy.

Zrozumiałem, że przynajmniej część lawiny przeskoczy naturalny szaniec i dosięgnie polany. Rzuciłem się ku wielkim głazom spoczywającym na skraju brzoźowego lasku. Całym ciałem

wcisnąłem się w szczelinę skalnego rumowiska, osłoniłem rękami głowę... Czas był już najwyższy: zaraz potem wtłoczył mnie w ziemię lodowaty podmuch. Jeszcze trochę i poczułem na sobie potworny ciężar. Na szczęście nie trwało to długo — nacisk zelżał, nim naprawdę zacząłem się dusić. Spróbowałem wstać: zrzucając z siebie grubą warstwę ubitego pędem śniegu z trudem dźwignąłem się na kolana. W powietrzu wciąż wisiał kłujący mroźnymi igielkami pył. Było mroczno — wzrok sięgał nie dalej niż na dwa czy trzy metry. Stałem na nogi i prawie po omacku począłem wdrapywać się na morenę. Drogę tarasowały zwalone drzewa i zasy; podeszwy butów lgnęły w mokrym, gęstym śniegu; lepił się do nich i co kilka kroków musiałem strącać z nóg wielkie kawały białej masy. Poprzez rzadniejący lodowy pył przebijały się stopniowo coraz mocniejsze promienie słońca, widoczność z wolna ulegała poprawie.

Kiedy osiągnąłem cel, przyroda powróciła już do stanu spokojnego piękna, które podziwiałem przed zejściem lawiny: powietrze odzyskało przejrzystość, granatowe tło nieba znowu podkreślało nieprzebrane bogactwo górskich kształtów, słoneczne światło roziskrzało śnieg... Znad białej pochyłości lodowca zniknęły ostatnie ślady jakiegokolwiek ruchu. Panowała wokół wspaniała cisza. I tylko jedno zmieniło się w pejzażu, tylko jednego w nim brakowało — nigdzie nie było widać maleńkiej, ludzkiej sylwetki... Wydało mi się, iż rozpoznaję punkt, w którym dostrzegłem Marię po raz ostatni.

Dobrnąłem do niego po paru dalszych minutach wspinaczki. Gołymi rękami zacząłem rozgrzebywać śnieg. Wysilek i z każdą chwilą silniej operujące promienie słoneczne sprawiły, że rychło oblałem się potem. Na pękającej skórze skostniałych dłoni pojawiło się coraz więcej krwi. Ale nie znalazłem niczego. Potem odniosłem jeszcze wrażenie, że chyba się mylę, że owo zapamiętane przeze mnie miejsce musi leżeć nieco dalej. Przeniosłem się, by z kolei tam wykopać głęboki lej. Bez skutku. I nagle z całą bezwzględnością uświadomiłem sobie to, czego nie dopuszczałem dotąd między myśli: Maria dawno nie żyje, a na to, by odnaleźć jej ciało, potrzeba było kilkuset ludzi z łopatami. Chciałem się jeszcze przed tym przeświadczeniem bronić, ale ono opanowało wnet mój mózg bez reszty, mocno zapiściło w nim korzenie. Wraz z nim wdzierał się we mnie lęk, owa bojaźń towarzysząca otarciu się o sprawy ostateczne, o zdarzenia, których biegu nie da się odwrócić...

Trząsałem się, drżałem wśród białego pustkowia. Moja rozpacz pulsowała: fale tępego bólu rozdzielone były przez chwile, w których przeżywanie nieobecności Marii nabierało najwyższej, fizycznej intensywności i porażało swoją oczywistością, w których jaskrawość faktów przeszywała mnie niczym ostra, lodowata szpila. Wtedy tężałem, kamieniałem prawie...

Nie potrafię panu powiedzieć, ile czasu spędziłem w sumie na lodowcu. Właściwie cały dzień, bo kiedy dowlokłem się z powrotem do namiotu — przewróconego, podartego i częściowo wmarzniętego w świeżą, lodową skorupę, jaką zdążył się stać topniejący wcześniej śnieg — słońce już zaszło, a na polanę opadł szarobłękitny, zmierzchowy cień. Wyszarpnąłem spomiędzy żalonych szczątków mój plecak. Wydobyłem z niego otrzymaną od Marii książeczkę, rozpiąłem mosiężną klamerkę... Od razu tam, ścigając się z nadchodzącą ciemnością, przeczytałem wszystkie starannym, staroświecko kaligraficznym pismem wypełnione stroniczki. To nie był charakter Marii; ona stawiała litery nierówno i oddzielnie, upraszczając je, bo gubiąc co bardziej wygięte fragmenty ich kształtów... Nie wiem więc, kto zanotował to wszystko. Najpewniej na zawsze pozostanie to tajemnicą...

W gruncie rzeczy mógłbym teraz wręczyć panu ten notes. I pozwolić panu na samodzielną lekturę. Ale nie umiem sobie odmówić przyjemności spełnienia roli przewodnika po tych tekstach, podzielenia się przemyśleniami na ich temat i wygłoszenia komentarzy. Myślę, że wybaczy mi pan tę



małą słabostkę. Tak? Bardzo dziękuję! Zresztą te moje uwagi mogą się panu naprawdę przydać...  
Najsamprzód fragment z Sofoklesa. Proszę posłuchać:

„Bo go ni boga pokonał ognisty  
Grom, ani burza od morza zerwana,  
Która by nad nim zawrzała w tej chwili,  
Lecz może bogów posłaniec?... Lub głębie  
Ciemne, rozwarłszy się pod nim życzliwie?”

I co? Wie pan, z czego to jest? Nie? Mówiłem przecież, że nie obejdzie się bez moich komentarzy! To „Edyp w Kolonos”. Ślepy król przybywa do gaju poświęconego Eumenidom. Tezeusz, który go prowadził, zawraca na skraju zarośli, a on sam po omacku brnie między drzewa. Ma zniknąć w podziemnej jaskini, która gdzieś tam kryje się i otworzy się tylko dla niego. W jej głębiach, oczyszczony i ukojony, stanie się dobroczyńcą Aten. Dostrzega pan ten związek? — umrzeć i wejść w łono ziemi, a jednocześnie stać się opiekunem żyjących... całego świata właściwie, bo dla wielu Ateny uchodziły wtedy za świat... Piękne, czyż nie? A teraz święty Jan: „I zatrąbił Anioł piąty, i ujrzałem gwiazdę, która spadła z nieba na ziemię, a dano jej klucz od studni przepaścistej”. Oczywiście, to „Apokalipsa”. Ale co dalej? Co wynika z przybycia gwiazdy? Z otwarcia studni? Co ona zawiera? No?

Ha! — znowu więc muszę panu odpowiedzieć: straszną moc, szarańczę, która wypleni zło... Tuż obok, na trzeciej stroniczce, myśl wyrwana z Koranu — osiemnasta sura, ta, która nosi tytuł „Grota”, Otóż owa grota to tajemnicze podziemie; trzeba w nie wstąpić i trzeba w nim zasnąć, by się odrodzić. Niech pan słucha, to jakby do pana: „I widziałbyś, jak słońce, co, wschodziło, odsuwało się od ich groty na prawo, a kiedy zachodziło, mijało ich ze strony lewej, oni zaś ciągle spali w miejscu wolnym pośrodku podziemia...” Teraz możemy kilka stroniczek opuścić... Ale nieco dalej... O! tutaj! — znowu coś naprawdę ciekawego. To Mylius, siedemnastowieczny alchemik, parę słów z jego najsłynniejszego dzieła: „Siedem. Siódemka wskazuje siedem gwiazd. I siedmiu bogów, co trwają w podziemnej jaskini”.

I jeśli już przy alchemii jesteśmy... — alchemikiem przecież był Faust. Mam tu fragment z Goethego. Ową rozmowę Fausta z Mefistofelem, która toczy się w pierwszym akcie drugiej części tragedii i w której wspomina się siedzibę Matek, potężnych, ukrytych bogiń. Nie będę pana dręczył długimi cytatami po niemiecku, ale na dwa króciuteńkie urywki musi pan przystać. Więc najpierw: „Nach ihrer Wohnung magst ins Tiefste schürfen...”. I trochę dalej: „Du seist im tiefsten, allertiefsten Grund...”. Rozumie pan? Głębia, najgłębsza z najgłębszych, otchłań... To w niej skryły się Matki... Aha! — widzę, że zaczyna pan odnajdować właściwy trop... Pewnie moglibyśmy już skończyć... Ale może jeszcze wiersz Ho Xuan Hu’o’nga, o grocie Cac Co. Po prostu bardzo go lubię. O! proszę:

„Z nieba i ziemi ta skala zrodzona,  
Szczelina ją rozkrawa, głęboka i czarna.  
Wciąż woda świeża rosi mchem porośłe brzegi,  
A drogę, co ku nim wiedzie, pomrok zacienia.  
Niech pochwalony będzie rzeźbiarz, co głębię tę wykuł,  
Tak wielu ludzi szuka tej rozwartej szczeliny”.

Tak, tak... — ciemne głębie, studnia przepaścista, grota, jaskinia, otchłań, szczelina w skałach... A zatem? A zatem, drogi przyjacielu, moje myśli musiały pójść tym tropem. Tak jak pańskie teraz. A proszę jeszcze do tego dodać intensywność, z jaką ja wgryzałem się w teksty: pamiętałem przecież

słowa Marii... widziałem w tym notatniku swoją jedyną szansę... Co? Nie, nie. Wtedy, gdy czytałem to wszystko po raz pierwszy — na polanie, wśród śniegu i tężejącego zmierzchu — też nie umiałbym wskazać źródeł cytatów i nic nie powiedziałbym o autorach. Tę wiedzę posiadałem znacznie później. A wtedy... No cóż, wyjaśniłem już właściwie: tymi strzępkami, okruchami odległych od siebie w przestrzeni i w czasie kultur i religii, napierała na mnie jedna, wspólna im wizja — obraz tajemniczego podziemia i ukrytego gdzieś przejścia, którym można się do niego wślizgnąć. Potęga, ukojenie i sprawiedliwość zagrzebane pod naszymi stopami; wiedziałem już, czego szukała w górach Maria. A równocześnie coś mi jednak szeptało, że to nie wszystko, że nie dotarłem jeszcze do prawdy ostatecznej. Wciąż nie mogłem uspokoić skołatanej głowy. Zapadła noc, a tuż przedtem, w ginącym, słabym świetle wieczoru przewróciłem ostatnią kartkę. Chwytał mróz. Ale ja nie czułem głodu, bólu ani zimna... Znalazłem się jakby poza rzeczywistością, istniałem tylko w zamkniętym, coraz prędzej wirującym kręgu kilku myśli.

I nagle przyszła iluminacja. Wybuchła we mnie białym światłem, jak magnezja, niczym elektryczna iskra przebiegła dało i mózg, dała mi mgnienie sięgającej bólu rozkoszy. Pulsująca czerwienią kula — ja — rozwarta szczelina w ziemi: trzy punkty ułożyły się w linii prostej. Zrozumiałem, że muszę zacząć od odnalezienia przejścia w podziemie. To dopiero na jego progu zdobędę władzę nad kulą; przyciągnę ją i wniknę do jej wnętrza. A potem razem — ja w niej — popłyniemy w dół. Ku najgłębszej z ziemskich głębi. Do otchłani. I gdy kosmiczne jajo zagnieździ się w łonie naszej planety — spełni się misja: zło i głupota znikną, a ludzkość wejdzie w okres szczęśliwości, o którym marzyła od dawna... Od zawsze... Poczułem ciężar odpowiedzialności, jaka zwała się na moje ramiona, cały jej przytłaczający ogrom. Nie było już Starego... Nie było Marii... Gdzieś bładzili pewnie inni podobni do nich ludzie, marzyciele noszący nad sobą złotoróżowy znak spotkania z kulą. Ale nie wiedziałem, czy ktokolwiek z nich dostąpił już pełni wtajemniczenia. A ja tak; ja dostąpiłem.

Nadszedł moment, w którym los świata spoczął w moich rękach.

.....

Hold wypowiada tych kilka ostatnich zdań bez patosu i emfazy; nie ma w nim śladu pychy czy górnolotnej przesady. Przeciwnie — jego głos cichnie i łamie się. Tak jak gdyby wyznanie prawdy o doniosłości własnej roli wymagało wewnętrznego, duchowego wysiłku, pokonania trudnej bariery, może nawet przewyciężenia jakichś obaw... Skromność? Bez reszty przeżywana waga słów? Niepewność co do mojej zdolności pojmowania? Nie umiem rozstrzygnąć, z jakiego właściwie źródła wypływa jego ton. Ale czuję też równocześnie, że ten Hold — świadomy własnej mocy i tak powściągliwy w mówieniu o niej — budzi moją największą sympatię, jest mi bliższy niż w którymkolwiek z wcześniej ukazanych stanów psychicznych i wcieleń. Zaufanie, podziw, wdzięczność — po trosze wypełnia mnie każde z tych uczuć, każde z nich mieści się w emocjonalnym stosunku, jaki mam do niego. Wiem, że gdyby zażądał ode mnie w tej chwili podporządkowania się jego rozkazom — przystałbym na to bez wahań i z prawdziwą radością. Z głębin pamięci przyplływa do mnie strzęp wywodu z jakiegoś dawno czytanego popularnonaukowego artykułu. W pierwszej chwili wydaje mi się bez związku z sytuacją, ale zaraz widzę, że to pozór. Myśl w nim zawarta trzyma się łańcucha skojarzeń jak najwłaściwszych. Myśl o tym, że w warunkach ziemskich nie wiodą się próby wykonania doskonałych kul — siła ciężenia zawsze powoduje odchylenia od ideału; kule idealne mogą się rodzić tylko w przestrzeni kosmicznej. I właśnie do tej myśli dołącza się potem jeszcze jedno ogniwo — wiersz Aragona: „Czym jest miłość? — Kręgiem ze złota na chmurach. Czym jest śmierć? — Skalnym schronem na wysokich górach”. Symbole i mity... Mity i symbole... Baśnie, baśnie, baśnie... Doskonałość i miłość, które — jak deszcz — opadną z chmur. Ukojenie i

sprawiedliwość, które — jak kwiaty — wykiełkują z ziemi. Piękne bzdury! Wzniosły bełkot!

Poetyczne szaleństwo! Nagle, w jednej sekundzie, rozsypuje się wszystko, co czuję dla Holda, wszystko, co o nim myślę. Powstaje pustka, a w nią wciskają się gniew, zniechęcenie, zawód... To mój zdrowy rozsądek, już po raz któryś z rzędu tego wieczora, podnosi alarm: co robię?!, dokąd pozwoliłem się zawlec?!, czegoż z taką powagą wysłuchuję?! Myślę: Hold traktuje symbole, mity i baśnie w sposób dosłowny! I robi wszystko, bym i ja dosłownie je traktował! Czuję się nabrany, wystrychnięty na dudka... Ale nadchodzi spokojniejsza refleksja: czy naprawdę mnie oszukał? Nie, chyba nie.

Obiecał mi ciekawą historię. I opowiedział mi taką historię; przecież się nie nudziłem. Ale sprawił też, że zacząłem brać ją za rzeczywistość. On bardzo się o to starał... Tak, tak, tak — jest hipnotyzerem, sztukmistrzem i jednocześnie szaleńcem. Wykorzystał cały talent, rozwinął dar przekonywania, posłużył się swoją magią — wszystko, by wciągnąć mnie w swój świat. Bałem się tego na początku. Potem przestałem się pilnować. Więc prawie mu się udało...

Prawie, prawie... Wiem, że odzyskałem już poczucie rzeczywistości. W załamaniu się fascynacji Holdem jest wyzwolenie spod jego mocy. I ucieczka z pułapki pięknych fikcji. I powrót do własnych, racjonalnych ocen. Dlaczego więc tak mi smutno? Skąd nastrój rozczarowania i zawodu? Czego mi żal? Moje rozważania raz jeszcze odmieniają bieg: może bardzo pragnąłem, by to, o czym opowiadał Hold, było prawdą? może tęsknię do kosmicznej kuli i gotów jestem szukać szczeliny w skałach, chociaż nie wierzę, by istniała? może ulegałem sugestiom, bo tego mi było trzeba? Może, może, może... Chce mi się gorzko śmiać. Tak, świat jest szalony.

I szalony zostanie: dalej będą umierać z głodu dzieci i rosnąć armie, dalej na więzieniach wisieć będą transparenty sławiące wolność, dalej dorośli bezmyślnie będą sięgać po wciąż nowe, kolorowe zabawki, a fabryki zżerać resztki świeżego powietrza i wody, lasów i pól... Więc czystym szaleństwem jest żyć w takim świecie beztrudnie. I takim samym szaleństwem jest cierpieć czekając cudownej odmiany. Nie ma kuli.! Nie ma skalnej szczeliny! Nie ma magicznego gestu! I nie ma wyjścia! Wszystko zniknie w kurzawie termojądrowych wybuchów. Albo ucichnie wśród rżenia milionów płuc chwytających ostatnie porcje tlenu. Współczucie! Już tylko tyle mogę ofiarować. Hold — ten biedny, cudowny wariat — zasługuje na nie tak samo jak ja. Jak my wszyscy. Współczucie! Po fascynacji i po podszytym zawodem gniewie. Wiem, że to ostatni dziś nastrój. Innego nie będzie na pewno. Niezależnie od słów, które jeszcze usłyszę.

---

— Wywinąłem się wtedy górą. I śmierci. Bo niewiele brakowało, bym i ja został tam na zawsze. Trzy doby brnąłem przez bezludzie — bez jedzenia, bez snu... Picie z początku zapewniał mi topiony w dłoniach śnieg. Potem, gdy zszedłem niżej, mogłem już czerpać wodę z przydrożnych strumieni. Wreszcie, w stanie skrajnego wyczerpania, trafiłem na małą, podgóorską osadę. Zdążyłem tylko wkroczyć między pierwsze chaty i na środku drogi straciłem przytomność. Pomógł mi miejscowy znachor. Ale szpital też jeszcze mnie czekał... i długie tygodnie rekonwalescencji...

To nieważne! Liczyła się jedynie gotowość do powrotu na szlak, do ponownego wszczęcia przerwanych poszukiwań, którym poświęcała się Maria: tylko o tym bez przerwy myślałem, tylko w tym widziałem sens dalszej egzystencji... I w końcu wyruszyłem. I włóczę się po tych górach po dziś dzień... Co? Nie, nie jestem zniechęcony. Nie straciłem wiary. Wiem, że dolina... — bo dla mnie brama podziemi jest doliną — więc wiem, że dolina istnieje. Wiem na pewno! Czasami, przymknąwszy oczy, mogę ją nawet widzieć. To jak wspomnianie pejzażu z dzieciństwa, jak odnajdywanie w sobie kopii tylko raz widzianego obrazu, jak drugie śnienie bardzo dawnego snu...

Staję jak gdyby na przełęczu, między dwoma szczytami, i po drugiej stronie, w dole, widzę

podłużny, pęczniący środkiem — taki jak pestka daktyla — kształt pęknięcia w ziemi. Kępy wysokich drzew rosną na jego brzegach; ich korony falują łagodnie na wietrze. Ściany doliny nie opadają z początku zbyt stromo. Są bardzo gładkie; pokryte różową, zastygłą lawą, a może szkliwem podobnym do tego, jakie odkłada się we wnętrzach wielkich muszli.

W blasku słońca dostrzegam ich wilgotne lśnienie, odbicie złotego światła w miliardach nieustannie ześlizgujących się w dół kropel wody. Niżej naprzeciwległe stoki zbliżają się ku sobie i przemieniają w poszarpane, pełne bruzd i załomów, dzikie urwiska. Najniżej jest już tylko aksamitna czerń. Tak, widzę dolinę... Ale nie ma niestety w tej wizji pełnej wyrazności, jaką mógłby sugerować panu mój dokładny opis. Przyływa do mnie zawsze troszeczkę rozmazana... zza mgły... Widzę tak, jakbym zmęczonym, zażawionym okiem patrzył przez wizjer źle nastawionej kamery... i jakbym, mimo wysiłków, niczego nie mógł w tym poprawić... Oto i cały ten obraz — taki niby dobrze widoczny, a jednak wciąż się zacierający, taki znany, a przecież nadal kryjący tajemnice, taki bliski, a tymczasem niedostępny... Właściwie mógłbym metaforycznie podsumowywać moje bieżące wysiłki i dążenia. Bo ja wiem wszystko, a jednak za mało. I idę prosto do celu, a wciąż go mijam...

Nieostrość! Dręcząca, stała, niepokonana nieostrość! Czasami doprowadza mnie do wściekłości i do rozpacz. Na szczęście tylko czasami. A zresztą kiedy już naprawdę jest mi całkiem źle, zawsze mam jeszcze ostateczny środek pokrzepienia. Domyśla się pan, co to takiego? Nie?! Po prostu wyobrażam sobie moment sukcesu. Tę chwilę, w której stanę wreszcie u wylotu doliny, w której nadleci i przyjmie mnie kula, w której pomkniemy w dół... Ale o tym właściwie już mówiłem. Dużo ważniejsza jest druga część tej wizji: wielka przemiana, która wstrząśnie całym światem; całą ludzkością i każdym człowiekiem z osobna; wszystkimi i wszystkim... Dokona się równocześnie z moim lądowaniem w otchłań, w tej samej sekundzie ogarnie najodleglejsze zakątki globu.

Och! Czy potrafi pan to objąć myślą? Pomieścić w sercu? To nagłe wyzwolenie ludzi od krępujących ich głupstw i dostrzeżenie spraw istotnych! Ta nagła odwaga, by istotne sprawy wcielić w życie! Widzi pan to już! Ci żołnierze na tyłu granicach... Ci żołnierze — rzucający broń, zrywający zasieki i burzący mury, otwierający na roścież zapory, szlabany i bramy. Ci żołnierze — demontujący rakiety, obcinający lufy czołgów, zrywający epolety i emblematy. Ci politycy — odsuwający notesy pełne ideologicznych haseł, schodzący z mównic i zbiegający z trybun, rozluźniający węzły krawatów.

Ci artyści — wyrzekający się łatwych sukcesów i taniego poklasku, odnajdujący na nowo sens własnego posłannictwa, podejmujący trudną drogę ku swym najlepszym dziełom.

Ci uczeni — w mgnieniu olśnienia rozstrzygający, które z ich badań będą służyć człowiekowi, a które obrócić się mogą przeciw niemu; i od tej chwili poświęcający się już tylko tym pierwszym. Ci bogacze zaczynający nagle rozdawać swe bogactwa. Ci nadęci głosiciele „jedynych” prawd zaczynający nagle mówić szeptem. Ci handlarze narkotyków zaczynający nagle wdeptywać w bruk saszetki i ampułki. I te miliardy zwykłych ludzi — naciskających wyłączniki telewizorów i rzucających w kąty gazety, zapominających marzenia o nowym samochodzie czy pierścionku z brylantem, odzyskujących wspaniałą umiejętność przeżywania zdziwień.

Rozsypujące się skostniałe hierarchie i fałszywe skale wartości. Rozwiązujące się partie i parlamenty. Otwierające się magazyny i skarbcie. Kwadryliony krzyżujących się w powietrzu przyjaznych słów; wesoly rozgwar nad wszystkimi lądami. Powszechne poczucie lekkości, otwartości i nadziei. Coraz radośniejszy chaos. Przedświt nowego porządku na Ziemi. Wszystko możliwe. I ani krzty nienawiści. I żadnych wodzów. I nie płynie nawet jedna kropla krwi. I ważne są tylko stare, w kamieniu wykute prawa. Czyż myśl o tym wszystkim nie wystarczy, by przemoc najgorszy choćby stress? Mnie zawsze stawia na nogi. Przypomina, że wobec zadania tej miary po

prostu nie mam prawa do zniechęcenia i załamania... A ukazując radość i piękno, które dzięki mnie mogą stać się udziałem ludzkości — dodaje sił.

.....

W ostatnim zdaniu Hold zniża głos prawie do szeptu. Potem milknie. Spostrzegam, że przekazanie mesjańskich — wizji wyraźnie go wyczerpało. Już kiedy je odmalowywał — pospiesznie, urywanie i nieco nerwowo — zdawał się wyrywać z siebie poszczególne obrazy, okupywać je walką z jakimś wewnętrznym oporem i powodowanym, przezeń bólem. Teraz próbuje uspokoić się i odetchnąć. A ja myślę: współczucie — tylko tyle wolno mu ofiarować; mogę współczuć, ale muszę bronić się przed wciągnięciem w jego obłąd. Po raz kolejny przeglądam elementy, z których zbudował konstrukcję swojej wiary: kula i dolina... dolina i kula... jeden jedyny człowiek samym sobą spajający je w całość. I znowu chowam się przed tym wszystkim w poczucie zawodu, ironii, a nawet gniewu. Nie dam się zwieść! Nie pozwolę, omamić! Nagle uświadamiam sobie ogrom wypełniającego mnie zmęczenia i narastającej senności. Zaczynam się zastanawiać, jak uciąć tę przydługą rozmowę, jak zręcznie uwolnić się od ciekawego dotąd, ale teraz nużącego już towarzystwa. Osiągam stan ducha, w którym umiem już reagować jedynie źle ukrywanym wzrostem irytacji i niemalże wrogości, gdy Hold przeciąga wywody.

-----

Powiem panu teraz coś ważnego. Coś naprawdę bardzo ważnego. Ale nim to zrobię, muszę się jeszcze ciut cofnąć, powtórzyć wspomnienia... No, niech mi pan wybaczy! To już tylko chwila! Więc muszę się cofnąć do owego strasznego dnia, w którym lawina pochłonęła Marię. I do trudnej drogi powrotnej z gór, jaką pokonałem później.

Mój umysł znajdował się wtedy przez cały czas w dziwnej gorączce; rozpacz i ból zamieniały się momentami w lodowate, ślepe przerażenie, a ulgę przynosiły mi halucynacje. Raz po raz zaczynało mi się wydawać, że nic się nie stało, że Maria idzie obok mnie albo że przebywamy razem w jakimś zupełnie innym miejscu... Mówiłem jej, że ją kocham, a ona uśmiechała się do mnie.

Jednak harmonia była tylko pozorem; kładł się na niej jakiś cień, zatruwała ją jakaś nie wyjaśniona kwestia, rozsadzała zrodzona z nich obcość. Więc gdy potem odzyskiwałem kontakt z rzeczywistością, próbowałem dojść, co właściwie odpycha mnie od Marii ze stanów maligny. Z początku sądziłem, że tak po prostu dzieli nas jej śmierć, że nawet jeśli tracę pełną świadomość tego faktu, to nie potrafię wyprzeć go z podświadomości. W końcu wykryłem w sobie całkiem inne źródło: miałem do Marii żal. Żal o to, że zabroniła mi rozpięcia klamry i poznania treści małego notatnika, że tak długo świadomie utrzymywała nade mną przewagę tylko dla siebie zachowując ostatni rozdział tajemnicy. Dlaczego postępowała w ten sposób? Nie zastanowiło to pana? Gdy moje rozgoryczenie sięgało szczytu, wyobrażałem sobie, że robiła to z egoizmu.

Zatajała przede mną kluczowe wersety, bo wyłącznie dla siebie chciała ustrzec zasługę wybawienia ludzkości od katastrofy. A gdy potem ogarniały mnie wyrzuty sumienia, że myślałem o niej źle, wyjaśnieniem stawała się miłość do mnie. Maria zamierzała poświęcić siebie po to, by ocalić mnie, by dać mi szansę życia w nowym, wspaniałym świecie... Potrzebowałem czasu, by wreszcie wyraźnie dostrzec najważniejszy z powodujących nią motywów: poczucie odpowiedzialności za powodzenie misji. Mówiłem już panu, że najróżniejsze drogi prowadzą do spotkania z kulą i do przeniknięcia jej sekretu, że trudno znaleźć dwie identyczne — jedni wędrują ku temu latami, a inni przeżywają nieoczekiwany wstrząs; do jednych niezwykle zdolności zmysłów i nadnaturalne siły przychodzą wprost od kuli, drugim przekazują je ci, co sami zostali obdarzeni wcześniej, a jeszcze inni — jak na przykład ja — czerpią po trosze z obu źródeł; na kolejności pokonywania progów i barier, jakie dzielą od pełnego wtajemniczenia, nie ciąży żaden schemat...

Właściwie każdy może się znaleźć w kręgu tych, których cieniutką mgiełką spowija złotoróżowe światło, każdy może pojąć szaleństwo świata i rozejrzeć się za kluczem otwierającym pułapkę. A jednak jest bardzo niewielu takich ludzi, wciąż bardzo niewielu...

Większość naszych współbraci woli nie wystawiać głowy poza ciasne koło spraw codziennych i nie nękać umysłu czyhającymi na zewnątrz absurdami, sprzecznościami, zbrodniczymi nonsensami... Woli, by utrzymywano ją w nieświadomości albo oszukuje się sama. Porusza się starymi, przetartymi ścieżkami i nie chce dostrzec, że od dawna prowadzą donikąd... Maria wiedziała o tym wszystkim. I równocześnie wiedziała, ile znaczy dla mnie.

Bała się! Bała się, że do końca poznawszy prawdę, nie będę umiał dokonać wyboru. Że zacznę się wahać, opóźniać nasze poszukiwania, odwlekać dzień nieuchronnego rozstania... A może nawet myślała, że zechcę odciągnąć ją od misji i samemu się wycofać? Nie mogła pozwolić nawet na cień takiego ryzyka: dzisiaj już ją rozumiem. Powtarzam panu: zbyt niewielu nas jest... i zbyt mało czasu ma ludzkość... Więc każdy musi do końca grać swoją rolę. Każdy musi umieć ją podjąć w tym miejscu, w którym przerwał swoją poprzednik. I nikomu, kto choćby tylko otarł się o te sprawy — rozumie pan?!, nikomu! — nie wolno odsuwać się od nich. Nie wolno i zamykać na nie oczu i tłumić w sobie odzewu. Bo nawet takie otarcie się nigdy nie jest przypadkowe. Nigdy!

.....

Hold wymawia końcowe zdania z ogromnym naciskiem, a jego nieruchomy, wbity we mnie wzrok niesie wyzwanie. Wiem, że znowu mnie przejrzał. Że znowu odgaduje moje myśli. Piekielny sztukmistrz! Szalony hipnotyzer! A jednak moja złość słabnie, sympatia i podziw, jakie miałem dla niego przed kwadrans — powracają. I jeszcze raz staję na rozdrożu. Jeszcze raz czuję, że jego następne słowa mogą przechylić szalę

—————

— Tak, tak, przyjacielu — przemyśl na nowo wszystko, co ci opowiedziałem. Całą tę historię. Przemyśl ją jeszcze nie raz i nie dwa. Możesz ją sobie nawet zapisać. Ja nie kłamałem. Być może przyjdzie czas, że moje słowa wypełnią się dla ciebie niedostrzeganym albo lekceważonym dziś znaczeniem. Być może będziesz musiał dotrzeć do ich utajonego, najgłębszego sensu. Jutro znowu wyruszam, w góry. Jeśli mi się powiedzie, ostatni rozdział zostanie zamknięty. Ale jeśli nie — ty będziesz musiał napisać ciąg dalszy. I zrobisz to. Zrobisz na pewno. Ty przecież też widziałeś kulę

.....

Hold nadal z całej mocy wpatruje się we mnie. A ja nie potrafię odeprzeć naporu tych oczu. I nie umiem przed nimi uciec. Mój umysł kolejny raz poddaje się niesionym przez fluidy rozkazom.

Nieuchwytnie prądy opanowują moje myśli i zwracają je ku przeszłości. Wiedziony niezależną ode mnie wolą cofam się w dni i zdarzenia odległe; coraz głębiej, głębiej, głębiej... Znowu jestem siedmioletnim chłopcem. Właśnie zaczęły się wakacje; moje pierwsze wakacje. Po przedpołudniu spędzonym nad przecinającą miasto rzeką; wracam na obiad do domu. Ale im bliższy jest cel, tym trudniejsza staje się droga. Puste zwykle o tej porze ulice wypełniają tłumy. I dorośli zachowują się tak inaczej niż zwykle: biegną, krzyczą, ściskają w dłoniach kamienie.

Słyszę strzały. Słyszę je po raz pierwszy w życiu, a przecież z całą pewnością wiem, że to strzały. Jeszcze się nie boję. Więcej jest we mnie ciekawości i zdziwienia; świat, który; dotąd znałem, ukazuje nagle odmienne oblicze, wydaje się obcy, trochę przypomina film, a trochę sen... Nie zawracam. Zanurzam się w gęstniejącą ludzką masę. Robi się coraz ciaśniej, mocniej i mocniej naciskają na moje plecy tłoczący się z tyłu. Nieoczekiwanie przepchnięty przez mur ciał spostrzegam u stóp twarz chłopca chyba tylko trochę starszego ode mnie: otwarte szeroko, nieruchome oczy, w grymasie zastygłe usta, rdzawą strużkę zakrzepłą na skroni. Stojący najbliżej trwają w kamiennym,

ciężkim :| milczeniu. Teraz czuję już bliskość niebezpieczeństwa. I chłód: lodowate kompresy na dłoniach, piersiach i policzkach. I dławienie w krtani. Chcę uciekać; jestem tylko siedmiolatkiem, który się zgubił i nie może poznać ulic własnego miasta. Ale tłum nie puszcza, niesie mnie ze sobą. Dopiero znacznie dalej udaje mi się schronić w jakiejś bramie. Przebiegam przez nią i wpadam na podwórze. Na skrawku nieba, między wysokimi ścianami kamienicy, wisi wielka kula. Widzę wyraźnie jej lśniąca powłokę i pulsujące wnętrze. I wiem, że mogłaby mnie stąd zabrać. Że mogłaby dać mi bezpieczeństwo i spokój. Wpatruję się w nią przez łyzy szepcząc prośby i zaklęcia. Kiedy roztapia się w błękicie, wybucham głośnym płaczem...

Hold cały czas potakująco kiwa głową, jak gdyby podążając za moimi myślami i upewniając mnie, że odnalazłem właściwe wspomnienie. Odsuwa krzesło i wstaje dokładnie w tym momencie, gdy przed moimi oczyma wygasa ostatni z odległych obrazów. Nie pada już żadne słowo; jego jedynym pożegnalnym gestem jest krótki, energiczny ukłon. Zaraz potem Hold zaczyna iść ku drzwiom. Zatrzymuje się. Jeszcze raz się ogląda i odwraca. Patrzy na mnie w skupieniu, a później wyciąga ku mnie otwartą dłoń i wykonuje nią okrężny ruch, jak gdyby stała między nami szyba, a on chciał z niej coś zetrzeć. Mrużę powieki, bo uderza w moje oczy strumień światła. A Hold odchodzi już teraz zdecydowanie i szybko. Ale w chwili, kiedy przekracza próg, udaje mi się jeszcze spostrzec otaczającą całą jego postać mglistą, złotoróżową poświatę — — —